[i.e. 259]

Nr. 258. (Wydanie popołudniowe). **We Lwowie piątek dnia 12 lipca 1901 r** **Rok XXXIV**

DZIENNIK POLSKI

wychodzi 2 razy dziennie.

Borbifaksy.

Lwów 11 lipca.

Myliliby się bardzo ci, którzyby sądzili, że te wielkie głupstwo polityczne, a właściwie niepolityczne, czyli t. z. secesja ruskich posłów w przeddzień zamknięcia sejmu, była dziełem, powziętem w chwili, kiedy ruscy reprezentanci w sejmie zostali rzekomo zawiedzeni w swych pretensjach, mających być początkiem dalszego separatyzmu. W błędzie są także ci, którzy wierzą w to, że stało się to nagle, że się tak wyrazimy, siłą żywiołową, że obrażona duma narodowa podyktowała posłom ruskim tego rodzaju postąpienie, jak gremialne opuszczenie obrad; że skłoniło ich do tego przekonanie, iż nie mogą mimo najlepszych ze swej strony chęci, wywalczyć dla swego narodu tego, co, ich zdaniem, konieczne jest dla zbawienia Rusi galicyjskiej.

Tak się ono na razie, w pierwszej chwili zdawało; atoli po odczytaniu tego, co o tym fakcie piszą organa prasy ruskiej, okazuje się, że było to poprostu fintą dawno przygotowaną, zręcznym manewrem, obliczonym nietylko na uzyskanie ponownych mandatów do sejmu, ale dla przeniesienia walki narodowościowej, wywołanej sztucznie, na grunt wiedeński, gdzieby *urbi et orbi* przedstawić można, do jakiego to stopnia gniotą Rusinów w Galicji, że ich reprezentanci muszą opuszczać obrady — kiedy te się mają już ku końcowi.

Jasno i otwarcie wypowiada to, cośmy wyżej napisali, główny organ ruskiej prasy *Diło*, które, konstatując, że to, co się stało, powinno było się już dawno stać, mówi: że pierwszem następstwem secesji — specjalnie grupy ugodowców — będzie zdemaskowanie polskich polityków przed władzami centralnemi w Wiedniu, a dalej, że rząd centralny musi przyjść do przekonania, że ruska sprawa nie jest wyłącznie sprawą domowo-galicyjską; że prócz kwestji czeskiej, jest i druga, wagi państwowej, a jest nią sprawa ruska. Jeżeli rząd nie wiedział jeszcze o tem, to teraz wie. Oświadcza dalej *Diło* z emfazą, że takiemu sejmowi, jak galicyjski, nie można powierzać załatwienia spraw ruskich i że wszelkie informacje, jakie o sprawach ruskich otrzymuje rząd wiedeński, są jednem wielkiem kłamstwem.

Mimowoli zapędziło się *Diło* w swej zjadliwości tak daleko, że powiedziało prawdę. Tak jest, informacje, jakie rząd centralny otrzymuje z Galicji o ruskich sprawach, są co najmniej w trzech czwartych fałszywe. Jest tylko pewne nieporozumienie co do tego, kto ten rząd informuje. *Diło* ma na myśli, że tym informatorem są czynniki rządowe polskie, lub Polakom przychylne; my ośmielimy się twierdzić, że w daleko większej mierze „informują" sfery rządzące o ruskich sprawach w Galicji sami nasi „serdeczni bracia Rusini" czy to z trybuny parlamentarnej, gdzie ku uciesze socjałów i szenererowców przedstawiają okrutny „knut", jakiego doznają w Galicji Rusini, czy też pokątnemi intrygami u Niemców, czy w końcu w prasie nam wrogiej, która tylko czyha na nowinki ze strony Rusinów, aby zobydzić i splwać stosunki galicyjskie pod stałą rubryką *Polnische Schlachcicen-Wirtschaft*. Tendencyjne te baśnie, od lat dziesiątków powtarzane, nie zdołały jakoś przekonać rządu, nietylko obecnego, ale nawet wówczas, gdy Polacy nie mieli w Wiedniu dominującego stanowiska, a dlaczego? Dlatego, że przekonywano się wprzódy, iż kłamstwo tam na kłamstwie w tych rewelacjach jeździło. Mamy nadzieję, że tak będzie i teraz i *exodus* ruski będzie istotnie epokowem — głupstwem, jakich mnóstwo w kronikach dziejów zapisano od czasu Stadjona.

Nie będziemy też powtarzać tego, co o tym „epokowym" fakcie powiada anemiczny organ ugodowców *Ruslan*, który stanowiska „wrogiego" sejmu do Rusinów, chce się nawet dopatrzeć w „konsolidacji ze Stojałowskim" (*sic!*). Z głosem jego nie liczą się sami Rusini, a więc i my nie mamy obowiązku.

Nakoniec *Hałyczanyn*. Temu cała secesja Rusinów jest zupełnie niemal obojętną. Nie uzna tak długo stosunków galicyjskich, dopóki on *ruską* się nie stanie według jego konsekwentnego widzenia rzeczy. Kompromitacja „narodowców" i „ugodowców" będzie mu nawet bardzo na rękę w agitacji wyborczej, a że nie omieszka z tego w swoim czasie skorzystać, to dość przypomnieć dzieje sławnej „konsolidacji" kiedy to „narodowców" bez brzytwy wygolił.

Sprzedaż soli w Galicji.

Dnia 5 bm. obradował sejm między innemi nad sprawozdaniem komisji solnej, o sprawozdaniu wydziału krajowego w zakresie sprzedaży soli. Wzrost ilości soli sprzedawanej pod kontrolą wydziału krajowego, podnosił się z roku na rok. Sprzedano: w 1893 r. 106.201 ctn. mtr., 1894 r. 224.372 c. m., 1895 r. 415.112 c. m., 1896 r. 444.601 c. m., 1897 r. 486.648 c. m., 1898 r. 450.709 c. m., 1899 r. 531.302 c. m., 1900 r. 574.274 c. m.

W cyfrach tych streszcza się ciągły postęp, ciągły rozwój krajowej organizacji solnej. Rozszerza się on na coraz nowe działy i przez zastępstwa swoje wnika coraz głębiej w masy ludności. Gdy w pierwszych latach istnienia krajowego zarządu sprzedaży soli ograniczała się jego działalność tylko do warzonki, stopniowo ogarniał on sól kamienną, następnie sól bydlęcą, a wreszcie kainit. Niektóre z tych działów młodszych, a mianowicie kainit i sól bydlęca, nie rozwinęły się jeszcze odpowiednio, ale sprzedając te artykuły li po cenie własnych kosztów, co nie byłoby możliwem żadnemu prywatnemu przedsiębiorstwu, które bez zysku żadnego pracować nie może, wyświadcza tem krajowy zarząd sprzedaży soli rolnictwu i hodowli bydła cenną przysługę, bo usiłowania jego uprzystępniają zużytkowanie dla celów gospodarczych tych cennych gatunków soli, z których rolnictwo nasze dotąd niestety za mało korzystało.

Ubiegły rok 1900 ważną będzie stanowił datę w rozwoju krajowej organizacji sprzedaży soli. Wprowadzono bowiem w tym roku dwie techniczne reformy w handlu solą, tak że nie ma mowy o tem, ażeby konkurencja prywatnych handlarzy mogła jej kiedykolwiek na tem polu sprostać, ale — co jest rzeczą najważniejszą, zapewniają one ogółowi ludności istotną korzyść — bez najmniejszego podniesienia ceny soli! Jest to zapoczątkowane już praktycznie opakowywanie każdej topki w papier, co zapewnia konsumentom otrzymywanie soli bezwarunkowo w pełnej wadze wyrażonej na opakowaniu i w cenie na każdej topce oznaczonej, a po drugie sprzedaż soli kamiennej mielonej we własnym zarządzie wydziału krajowego i również w kartonach zamkniętych, a więc czystej i w pełnej wadze.

Co do prób mielenia soli kamiennej, właśnie rozpoczętych przez wydział krajowy we własnym młynie w Bochni — sądzi komisja, iż sprzedaż tego gatunku soli w opakowaniu z firmą wydziału krajowego, gwarantującą i gatunek prawdziwy, wagę i cenę należną, szybko się upowszechni nietylko w piętnastu zachodnich powiatach, przydzielonych do okręgu sprzedaży soli z salin w Bochni i Wieliczce, ale i poza granicami kraju — co też ze strony rządu powinno doznać tylko poparcia jak najżyczliwszego. Sejmowa komisja wybrała subkomitet, który dokonał lustracji krajowego biura solnego. Mianowicie sprawdził on na podstawie ksiąg i aktów oryginalnych poszczególne cyfry, przytoczone w sprawozdaniu wydziału krajowego o wynikach pieniężnych obrotów przedsiębiorstwa sprzedaży soli. Przy lustracji starano się zbadać w sposób wyrywkowy także całe urządzenie manipulacji kasowej i trybu urządzenia centralnego biura sprzedaży soli w wydziale krajowym. Lustracja wykazała, że cyfry, w sprawozdaniu przytoczone, są z prawdziwym stanem rzeczy zgodne, że wszystkie działy czynności w całej organizacji przedsiębiorstwa kontrolują się wzajemnie, że w całem działaniu umiano pogodzić szybkość, sprężystość i swobodę obrotów, niezbędną w przedsiębiorstwie ściśle kupieckiem, z temi formami i ostrożnościami, jakie są niezbędne w każdej administracji groszem publicznym.

Członkowie tej komisji lustracyjnej pp. hr. Kl. Dzieduszycki, Górka i Merunowicz, przekonawszy się o jak największym porządku w agendach biura solnego, wyrazili kierownikowi tego biura drowi St. Miziewiczowi szczere uznanie, za jego energiczną i dodatnią pracę.

Hajdamaczyzna.

Kopyczyńce 4 lipca.

Jest przysłowie, które o pewnem zwierzęciu twierdzi, iż worek drze i samo krzyczy.

Przysłowie dość nieestetyczne, ale czasem da się zastosować do stosunków wschodnio-galicyjskich. Jak Rusini w Kopyczyńcach podczas tegorocznych wyborów do rady państwa terroryzowali wyborców w niemożliwy sposób, wiadomo z dzienników. Lecz nie dziwić się ciemnemu motłochowi, który roznamiętniony odmawia swym braciom wody ze studzien gminnych, niszczy im plony, pobija śmiertelnie, rozbiera im płoty, za to tylko, iż korzystali ze swych praw obywatelskich; lecz dziwić się ludziom inteligentnym, których jedynym obowiązkiem jest wszczepiać w lud: „Kochaj bliźniego!" że lud ten w przybytku Pańskim podburzali przeciw swym braciom. Czy takie postępowanie gr. kat. ks. Strumińskiego zgadza się z zasadami tej wiary, której jest kapłanem? Postępowanie Rusinów musiało oburzyć każdego Polaka, a jeszcze więcej oburza to, że pomimo swych nadużyć i terroryzmu, krzyczą jeszcze: „Lachy nas krywdiat!", co usłyszeć możemy na każdem ich zebraniu i wyczytać w każdym numerze ich gazety.

Zdawało się, że po wyborach nastanie n nas spokój, lecz ks. Str. wynalazł sobie inne pole działania. Kto przyczytał w Nr. 114 *Diła* artykuł: „Polska hakata przeciw Rusinom", przyszedł do przekonania, że młodzież ruska w szkole kopyczynieckiej strasznie jest prześladowaną i krzywdzoną, gdyż kierownika przedstawiono, jako hakatystę. Tymczasem w całym tym artykule nie ma słowa prawdy, co mogę poświadczyć, gdyż interesuję się tutejszą szkołą i rozmawiam codziennie z nauczycielami o tutejszych stosunkach szkolnych. Zastrzegam się, że nie myślę z autorem tego artykułu wdawać się w jakąkolwiek polemikę, chcę tylko sprawę przedstawić zgodnie z prawdą. Do tej pory było u nas zwyczajem, iż codziennie młodzież obrz. łać. pod dozorem nauczycieli uczęszczała do kościoła, a obrz. greckiego do cerkwi. Ponieważ jednak cerkiew oddaloną jest od szkoły więcej, niż 2 km. i do niej prowadzi zła, nieszutrowana droga, przeto w dni słotne młodzież obu obrządków szła do kościoła, prawie do szkoły przypierającego. Ponieważ w niedziele nie ma w cerkwi rannego nabożeństwa, a cerkiewka jest tak małą, iż na nabożeństwie przedpołudniowem panuje ogromny ścisk i o prowadzeniu tam młodzieży nie ma mowy, przeto w niedziele i święta prowadzono młodzież tylko do kościoła na ranne nabożeństwo.

To się ks. Str. bardzo nie podobało. Wytłómaczył dziatwie, iż *grzechem* jest chodzić do kościoła, że kościół a cerkiew nie jest jedno i to samo i zabronił uczniom pod zagrożeniem najsurowszych kar uczęszczać do kościoła, dodając, że dziatwa nie powinna nikogo słuchać, ani nauczycieli, ani dyrektora, lecz tylko jego. To poskutkowało i młodzież w słotę i ulewę biegnie do cerkwi, oddalonej o 2 km. i nic nie pomoże, że nauczyciele tłumaczą jej, iż w skutek słoty dnia tego młodzież nie pójdzie do cerkwi. Czy takie rozdwojenie narodowościowe między dziatwą szkolną dobrem jest, wątpię. Dość często można słyszeć, iż młodzież obrz. greckiego szydzi ze swoich kolegów: „Wy Laszky!" Do przybycia ks. Str. do Kopyczyniec, księża katecheci obu obrządków nawzajem się w nauce szkolnej zastępowali i nikogo to nie dziwiło i dobrze z tem było.

P. Petrycki (prawa ręka ks. Str.) w artykule *Diła* zarzuca kierownikowi szkoły, że zabrania nauczycielom Rusinom chodzić do cerkwi, co jest nieprawdą, gdyż nietylko nie zabrania, lecz tygodniowo wyznacza kolejno po 2 nauczycieli bez względu na ich obrządek, do prowadzenia młodzieży do cerkwi, a i sam często młodzież w cerkwi dozoruje; a nawet, gdy nauczyciel Rusin, p. Jan Złoczowski, wzbraniał się dozorować wraz z innymi nauczycielami młodzieży w cerkwi podczas spowiedzi, oświadczając, że nie jest do tego obowiązanym, doniósł o tem władzy szkolnej. Nie można jednak wymagać od kierownika szkoły, by wbrew przepisom szkolnym zmuszał nauczycieli do uczęszczania do cerkwi podczas słoty i błota. Było u nas zwyczajem, zgodnie z przepisami szkolnymi, że podczas dni Krzyżowych młodzież pod dozorem nauczycieli brała udział w nabożeństwie i procesji w kościele. Ks. Str. sprzeciwił się temu i żądał, by młodzież obrządku greckiego w te dni udała się do cerkwi na zwykłe ranne nabożeństwo. Kierownik szkoły tłómaczył ks. Str., iż według przepisów szkolnych, młodzież winna wziąć w te dni udział w nabożeństwie i dlatego przedpołudnia wolne są od nauki, bo gdyby nie wzięła udziału, to nauka musiałaby się odbywać i wszyscy nauczyciele mają obowiązek dozorowania dziatwy. Ks. Str. oświadczył, iż nie pozwoli, by młodzież obrz. greckiego udała się do kościoła i sam ją ze szkoły do cerkwi poprowadzi, na co się kierownik zgodził. Lecz nieprawdą jest, by żaden z 11 nauczycieli nie był obecnym w te dni na nabożeństwie w cerkwi, gdyż 2 nauczycielki i 1 nauczyciel udali się do cerkwi.

Nowy wypadek w Tatrach.

(*Od naszego korespondenta*).

Zakopane 9 lipca.

W poniedziałek późnym wieczorem rozeszła się w Zakopanem wiadomość alarmującą, że w Tatrach zdarzył się nowy nieszczęśliwy wypadek, mianowicie panna Stanisława Budziszewska, śpiewaczka koncertowa, która świeżo przybyła do Zakopanego z Arco, upadła z Zawratu.

Panna B. wybrała się przez Zawrat na Świnnicę w liczniejszem towarzystwie, które podzieliło się na dwie grupki w ten sposób, że jedni szli naprzód, a drudzy w tyle, każda zaś grupka miała na swoje usługi górala — niestety: nie zawodowego przewodnika. Ta ostatnia okoliczność stała się przyczyną katastrofy. Turyści, zostawiwszy za sobą forsowną i niezupełnie bezpieczną partję nad przepaściami, mieli do przebycia jeszcze tylko kilkanaście kroków, ażeby dostać się na grunt pewniejszy. Ale ten ostatek był właśnie najbardziej ryzykowny, tworzyła go bowiem śliska gruda lodowa.

Przewodnik zawodowy — jak zapewniają taternicy — byłby wyrąbał najpierw schody, a dopiero potem pozwolił przejść turyście. Góral prowadzący pannę B. i jej towarzysza dra Andruszewskiego, nie zrobił tego i wywołał katastrofę. Jeden krok fałszywy i panna Budziszewska z krzykiem rozpaczliwym spadła w przepaść, a tuż za nią zleciał i niefortunny przewodnik. Trzeci z kompanji, lekarz wojskowy dr. A. chwycił się kurczowo skały i formalnie wisząc nad otchłanią czekał pomocy. Pośpieszył z nią przewodnik drugiej partji wycieczkowej i uwolnił najpierw dra A. ze strasznego położenia, a następnie korzystając z nawinięcia się kilku górali, zarządził wydobycie z przepaści panny Budziszewskiej i jej przewodnika. Góral, jak się okazało, był tylko silnie potłuczony i podrapany, natomiast panna B. była zlana krwią, tak, że w pierwszej chwili niepodobna było nawet przekonać się o stopniu pokaleczenia.

Wszystko to stało się około godz. 5 popołudniu. Pokaleczoną pannę B. zanieśli górale na szalu do najbliższego schroniska nad Czarnym stawem, gdzie przepędziła całą noc, tym zasem zaś posłano do Zakopanego po nosze i opatrunki. O godzinie 1 w nocy dr. Saszewski z Zakopanego dotarł nad Czarny staw i opatrzył nieszczęśliwą turystkę. Rano o godz. 10 przewieziono ją do domu. Następstwa wypadku nie dadzą się jeszcze przewidzieć. Panna B. odniosła kilka poważnych ran w głowę.

Wypadek wczorajszy wywołał oprócz zwykłej sensacji, także serdeczne współczucie dla nieszczęsnej ofiary sportu tatrzańskiego. Panna Budziszewska, utalentowana śpiewaczka, cieszy się szczerą sympatją w towarzystwie zakopańskiem.

Zapędy małoruskie.

P. Barwiński składając imieniem posłów ruskich w sejmie znaną deklarację, motywującą wyjście ich ze sejmu, podniósł między innemi jako główny powód ich secesji ten fakt, iż sejm nie uchwalił wniosku jego o założenie gimnazjum ruskiego w Stanisławowie.

W odpowiedzi na deklarację p. Dzieduszycki zaznaczył już, iż komisja szkolna jedynie dlatego nie przedłożyła izbie sprawozdania o tym wniosku, że sesja była za krótką, aby można było przeprowadzić badania, a komisja nie chciała wniosku odrzucać. W następnej sesji więc wniosek ten przyjdzie pod obrady, a cały hałas p. Barwińskiego zupełnie był bezpodstawny i niepotrzebny.

Pisma ruskie skarżą się na większość sejmową, że z niechęcią odnosi się do życzeń ruskich. Dość jednak rzucić okiem na przebieg ubiegłej kadencji, aby przekonać się o nieprawdziwości tego twierdzenia. Sejm ten, który zakończył we wtorek swą sześcioletnią kadencję, był aż za nadto uległym dla Rusinów, każde ich życzenie spełniał z elektryczną — że się tak wyrazimy — szybkością i uprzejmością.

Jakże inaczej z Rusinami i ich językiem obchodzi się Rosja, do której tęskni większość naszych Rusinów.

Przytaczamy przykład: Oto pt. „Zapędy małoruskie", zamieszcza *Nowoje Wremia* notatkę o usiłowaniach Rusinów, skierowanych do nadania ich językowi większego znaczenia.

„W ziemstwie połtawskiem istniał — pisze *Nowoje Wremia* — projekt rozpowszechniania wśród ludności włościańskiej w gub. połtawskiej dziełek treści rolniczej w języku małoruskim; w ziemstwach czernihowskiem i charkowskiem podnoszono kwestję wykładów szkolnych w tymże języku; w Chersoniu zamierzone zostało wydawnictwo ludowego dziennika małoruskiego *Step'*; Tow. oświaty w Charkowie uchyliło wniosek p. Michnowskiego, o zwrócenie się do ministerstwa oświaty z prośbą, dotyczącą „zastosowania języka małoruskiego w charakterze środka pedagogicznego, w celu rozumnego i skutecznego nauczania rosyjskiego języka państwowego oraz przedmiotów, obję-

---

(5)

PAN FILIP Z KONOPI.

POWIEŚĆ

przez

Kazimierza Glińskiego.

Król przypomniał sobie skazańca, uśmiechnął się i rad był, że szlachcic umknął. Później — czas się przewlecze, w zapomnienie pójdzie wszystko i żywot zacnego rycerza ocalony zostanie...

W tem, rozbudzony gwarem wojennym, pan Filip przez okno wyjrzał...

— Król!... — zawrzeszczał.

Wypadł na próg, za próg skoczył i do stopy królewskiej przylgnął...

Jan Kazimierz za uszy się wziął:

— I cóżeś ty mądrego uczynił, człowiecze?...

— Czekałem na kata, miłościwy panie.

— No, szczęście twoje, żeś wpierw łaskawego króla spotkał...

Oczywiście wyrok cofnięto, bo taka była wola króla i panów radnych.

Ręka Boska nie opuszczała pana Filipa i podczas najazdów szwedzkich. Zdrada pod Uściem przypomniała go znów królowi.

— Ej! gdyby to tam, pod Beresteczkiem, udało się było waćpanu z podkanclerzym! — rzekł raz do Filipa, podczas swojej przeprawy na Szląsk — nie miałbym teraz Carolusa na karku.

— Chciałem, miłościwy panie! serdecznie chciałem Wam i Rzeczypospolitej usłużyć, ale Wasza miłość tak wysoko majestat swój postawiła, żem o mało łba własnego nie utracił. Lecz teraz Radziejowski banit jest, przezpieczeństwo więc wszelkie głowy się jego imnąć.

Ale najszczersze chęci na niczem spełzły. Podkanclerzego nie spotkał, sam zaś z Czarnieckim do Danji zabrał się i Szweda płoszył.

Na skórze wołowej nie możnaby było spisać rycerskich czynów pana Filpa. Bez ślubu żadnego, nie trzy, lecz trzynaście głów ścinał zamachem jednym, a Dunki wszystkie, na widok czarnecczyka onego kolana o kolana tarły, aż imćpan Jan Chryzostom Pasek żałość czuł, że to nie z jego powodu i, zapaławszy raz gniewem za sukces pewien, którego sam się spodziewał, z racji onej, dośmiertnym żalem powodowan, nic a nic w „Pamiętnikach" swoich o panu Filipie z Konopi nie wspomniał...

— Do nieśmiertelności nie przejdzie!... — mruczał umaczając pióro w inkauście i wolał Mazepę w pysk ciąć, panu Falboskiemu ostrogi do kolan przyprawiać, niż o Filipie słóweczko jedno pisnąć.

Ale pan Filip nie dbał o sławę pośmiertną, łuszczył Szwedów, aż o mało sam przez nich złuszczony nie był.

Razu pewnego, podczas wywiadów nocnych, ułapiły go psubraty.

— Czarniecczyk!... Uha! pohulamy z nim teraz! — zakrzyczeli...

— A jaką śmiercią chcesz zginąć? — spytali, urągając.

— Wola wasza — odpowiedział Filip.

— Kat?

— Wcale nie źle!...

— Kula w łeb?

— Smierć niezgorsza.

— Stryczek?

— Łachotliwy jestem, ale i ten mi się podoba!

— Jemu wszystko się podoba!... — zawołali wątrobiarze Carolusa. Niechże do Sztokholmu popłynie i tam rozpyta, na co skazan ma być.

Rozebrali go do cna, że wyglądał jakby go tylko co macierz urodziła i przywiedli na spadzisty brzeg morza.

— Hulk!... — zawołał komendant tej wyprawy.

Pan Filip bryznął w spienione nurty, ale wykaraskał się zaraz i ruszył naprzód w szczupakach.

— Do Sztokholmu!... — wołano z brzegu.

— Do zobaczyska! — odpowiedział pan Filip i podbijany przez fale z oczu im wkrótce zniknął...

Szwedzi zaniepokoili się...

A nuż dopłynie?...

Chcieli już na łodzie siadać i w pogoń ruszać, ale piorun rznął, wicher zadął, zbałwaniły się chmury i fale morskie za wesoło tańczyć zaczęły.

— Teraz szlachcić napewno zginął — ozwał się Szwed jeden.

— Nie wiadomo! — tu i tam wątpiące odezwały się głosy.

— Djabłemby był!... — ktoś zawołał.

— Jeno wyznawcą tej Pani... co to... wiecie... Miller... Kule — nic! haubice — nic!... Nazad... i z Polski.

— Częstochowska!... — zabrzmiało ciche, nieśmiałe...

I przypomnieli sobie, że pan Filip na szyi medaljon tej Pani miał; przypomnieli Millera, pociski wracające, haubice pękające, sromotny odwrót z Polski — i strach ich zdjął.

A pan Filip płynął, walczył z falami, burzą, huraganem, „Kto się w opiekę" szepcąc, to „Koronkę do Przemienienia Pańskiego" mówiąc na przemian.

I dopłynął do Sztokholmu.

Nie o własnych siłach wprawdzie, bo toby przechodziło możność ludzką, ale rybacką łódź spotkał, kierowaną dłońmi już omdlałemi, za burt się uchwycił, skoczył, do wioseł się wprzągł, a dodawszy otuchy zrozpaczonej załodze, nie tylko upewnił ją w zmiłowanie Boże, lecz całą rodzinę rybacką, która Lutrem zapaskudzona była, na świętą wiarę katolicką nawrócił.

I tak przybyli do Sztokholmu gnani już wiatrem pomyślnym nieszczęśliwi skazańcy na śmierć: jeden przez Szwedów, tamci przez burzę, zdziwieni opowieścią pana Filipa o losach jego własnych i cudach Jasnej Góry...

— Częstochowska! — powtarzali z uwielbieniem rybacy, przypatrując się rysom Jej, wyrytym na medaljonie Filipowym i dziękowali Świętej za doczesne i wieczne zbawienie.

Między czarniecczykami żal był okrutny, między Szwedami radość niezmierna po zniknięciu rycerza takiego; jeden tylko imć pan Jan Chryzostom Pasek posępny chodził, jakby, krom żalu, przewinienie jakieś na sumieniu swem miał.

— Uwiecznię! — szepnął, zabierając się do pracy i już słów parę na karteluszu, misternemi zgłoskami wypisał, gdy puknięcie w drzwi słyszeć się dało i przerwało bieg zacnych myśli sławnego pamiętnikarza.

— Kto tam? — odezwał się pan Jan Chryzostom.

— Filip z Konopi...

Pan Pasek zerwał się na równe nogi i gdy niespodziany przybysz przestępował próg żołnierskiej kwatery zawołał...

— Wszelki duch!... Czy to naprawdę waćpan?

— Jako widzisz, we własnem a grzesznem cielsku.

— Skąd bogi niosą?

— Ze Sztokholmu!...

Nie uwierzę, choćbyś na krzyż przysiągł, nie uwierzę! Waćpana dawno ryby zjeść już musiały, a to jeno coś na podobieństwo waszmości mrzy się... Stój, maro! — wrzasnął nagle, gdy Filip krok naprzód postawił. — Nie gub chrześciańskiej duszy, pokuso, bo Ołtarzewskiego na wspomożenie sił własnych przywołam...

Ale pan Filip buchnął śmiechem, przeżegnał się raz i drugi, i wydostając z zanadrza medaljon, tak rzekł:

— Spojrz waćpan na to, wżdy to nasza Panienka Przenajświętsza. Ona lichej, częstochowskiej forteczki nie pozwoliła wrogowi wziąć: wydobyła mnie, bez szwanku żadnego z rąk Chmielniczenki, z ciężkich terminów pod Beresteczkie uratowała, i ot, teraz, nie tylko pozwoliła do was szczęśliwie powrócić, lecz i pewną rodzinę luterską na pociechę i chwałę świętego naszego Kościoła katolickiego oddać.

— Cudy! cudy!.. — zamruczał pan Pasek. — No! siadaj waść! masz garncówkę, której nie tknąłem jeszcze, pij i łżyj!...

(Ciąg dalszy nastąpi)

tych programem szkolnym, w niższych szkołach gub. charkowskiej".

Przytoczywszy te usiłowania, *Nowoje Wremia* pisze:

„Oto w krótkim okresie czasu, kilka prób zachwiania główną opoką szkoły ludowej — jedynym językiem wykładowym, jakim w Rosji nie może być żaden inny, prócz ogólno-literackiego języka rosyjskiego, który — wypada nam powtórzyć klasyczny frazes Turgieniewa — nie może być dany innemu narodowi, tylko wielkiemu".

W końcu *Nowoje Wremia* oświadcza, że w chwili, „gdy język rosyjski gotów stać się językiem ogólno-słowiańskim", niepodobna u siebie w domu rozdrabniać go na jakieś „cieplarniane" narzecza.

Do słów tych nie trzeba chyba komentarzy.

Mały fejleton.

Ostatni występ.

— Hopla, panie clown, zdejm no pan kapelusz!

Zręcznem uderzeniem szpicruty pajac zrzucił na środek areny spiczastą czapkę clowna.

Biedny błazen! Od dziesięciu lat otrzymuje szturchańce i kopnięcia; od dziesięciu lat usiłuje być coraz zabawniejszym i głupszym, aby tylko pozyskać podziw galerji.

I dopiął tego. Rodzice tłumnie przyprowadzają do cyrku dzieci, aby zobaczyły błazeństwa clowna. Ależ bo też jaki on śmieszny!

Zdaje się, że nie ma człowieka szczęśliwszego nad tego błazna, gdy słyszy, jako najwyższą pochwałę, z potokami śmiechu, głosy: „Jakiż on głupi, jaki głupi!" A przecież nie ten głupi, co udaje głupiego. Jest to sztuka jak każda inna i nasz błazen doszedł w niej do doskonałości.

A jednak nie był szczęśliwy!

W dzieciństwie marzył o czemś innem: chciał zostać wielkim artystą, występować na najpierwszych scenach w słynnych dramatach. Skończyło się na marzeniach. Został tem, od czego zaczął — błaznem. Chociaż skarżyć się nie mógł: występy jego cieszyły się powodzeniem i dyrektor zaproponował mu przedłużenie kontraktu na korzystniejszych warunkach.

A jednak twarz jego podczas przedstawień była zawsze dziwnie smutną i zabawną jednocześnie. W głębi duszy rozpaczał zapewne nad rozwianemi marzeniami i zgasłemi nadziejami.

Pewnego razu publiczność zauważyła, że twarz błazna błyszczała radością. W dobrym a zabawnym uśmiechu nie było śladu smutku. Co się z nim stało?

Był dzisiaj szczęśliwy, szczęśliwy bezmiernie. Chwilami zapytywał sam siebie, czy to szczęście nie jest tylko marzeniem. Więc jest jednak ktoś, co patrzy nań poważnie, chociaż wszyscy z niego się śmieją.

Więc kocha go naprawdę? Błyszczącemi oczyma patrzał na siedzącą w krzesłach młodą dziewczynę, uśmiechającą się do niego. Śliczna to była dziewczyna, o aksamitnej, delikatnej twarzyczce i cudnym profilu w ramkach złocistych włosów. I ona go kocha! Co za szczęście! Tego wieczora nawet kopnięcia były mu miłe. Przy końcu przedstawienia uczuł jednak jakiś smutek; zdawało mu się, że słyszał dzisiaj słabsze oklaski, że czoło ukochanego dziewczęcia zachmurzyło się. Ale to złudzenie, był pewny jej miłości.

Emma pracowała w magazynie mód. Pewnego razu spotkali się na ulicy. Emma była z przyjaciółką, która zawołała: „Patrzaj no, to ten clown z nowego cyrku". Emma roześmiała się: „prawda, to ten głupi clown".

Były to pierwsze słowa, jakie usłyszał od niej. Długo brzmiały mu w uszach, lecz z czasem zapomniał o nich. Później, kiedyś, powtórzył je Emmie, lecz gdy rozpłakała się, żałował tego bardzo.

Spotykali się co wieczór w tem samem miejscu, na tym samym chodniku ulicy i zawsze spoglądali na siebie; on z pewnem rozdrażnieniem, ona z lekką ironją. Trwało to długo.

Wkrótce po zawarciu korzystnej umowy, raz na przedstawieniu zdawało mu się, że w spojrzeniu Emmy nie widzi zwykłej ironji. To go zadziwiło. Czy może teraz już nie uważa go za tak głupiego? Nazajutrz spotkali się podczas deszczu. Emma poprosiła go, aby osłonił ją swym parasolem.

Wrócił do domu pijany radością. Odtąd miłość jego wzrastała z każdym dniem i wreszcie oświadczył się. Został przyjęty i dlatego właśnie z twarzy jego zniknął wyraz smutku.

* * *

Wesele odbyło się bardzo wesoło.

Pierwszy raz w życiu błazen poznał, co to jest szczęście. Jak on ją kochał, tę Emmę swoją, jak pięknem zdawało mu się życie, które razem pędzili!

Całe dni spędzał przy niej, wieczorem wychodzili razem do cyrku. Po ostatnich oklaskach wychodzili znów razem i wracali do domu pod rękę, śmiejąc się i dokazując, jak dzieci. Nawet gdy wiatr zimowy zasypywał twarze ich mokrym śniegiem, nie przyspieszali kroku, lecz, pochylając się naprzód, szli weseli i szczęśliwi. On w takich razach chciał brać dorożkę, lecz Emma wolała iść pieszo.

Pewnego razu Emma nie poszła z nim do cyrku. Przyczynę powiedziała mu szeptem do ucha. Ucałował ją i rozpromieniony poszedł sam. Wracał dorożką, która, jakby na złość, wlokła się powoli. Odtąd otaczał żoneczkę swą troskliwą opieką, uprzedzał najdrobniejsze jej życzenia.

A jaki to był zachwyt, gdy przyszła na świat mała Adela. Dziecię to zapełniło mu życie. Klęcząc przy kołysce, spędzał długie godziny, wpatrując się w śpiącą dziewczynkę. Śmiał się do niej, kołysał ją, w nocy wstawał po kilka razy, niemogąc się dość napatrzeć. Ubóstwiał to maleństwo.

Sam uczył ją stawiać pierwsze kroki, wymawiać pierwsze wyrazy.

Był tak szczęśliwy, że czasami lękał się tego szczęścia. Przychodziła mu do głowy myśl, że długo tak trwać nie może, gdy jednak spojrzał na córeczkę, wątpliwości i obawy niknęły, jak cień.

Minęły dwa lata...

Emma stała się nerwową, niespokojną. Łagodny i miły charakter jej zmienił się nie do poznania.

Zmartwiony clown podwoił troskliwość i poświęcenie, lecz wszystko to drażniło Emmę coraz więcej. Czułby się nieszczęśliwym, gdyby nie dziecko. Zresztą nie mógł nawet zrozumieć, dlaczego Emma tak się zmieniła.

Pewnego razu, podczas sprzeczki, zrobiła mężowi wyrzut za jego rzemiosło — mówiąc, że to czyni ją nieszczęśliwą. Odpowiedział jej, że dla niej gotów jest porzucić cyrk i zapłacić karę za zerwanie umowy z małych oszczędności, jakie udało mu się zrobić.

— A potem co? — zapytała.

— Potem. Będę pracować.

Zaśmiała się gorżko. — Pracować! Cóż on umie?

Prawda, nic nie umie. Jest tylko błaznem i dlatego żona przestała go kochać. Czuł, że ogarnia go rozpacz. Ukrył się w pokoiku małej Adeli i zapłakał rzewnie nad minionem szczęściem. Nie wiedział, że to jeszcze nie koniec, że czeka go większe zmartwienie.

Tymczasem życie stawało się coraz przykrzejsze, błazen coraz częściej płakał, trzymając w objęciach małą córeczkę.

Razu pewnego po obiedzie, wyszedł do cyrku na próbę. Wracając przed wieczorem, zapytał się z goryczą, czy nie spotka go nowa scena małżeńska.

Nie zastał w domu żony; zapewne wyszła z dzieckiem na spacer. Był niespokojny, że nie wraca tak długo. Zawołał na służącą, nie otrzymał odpowiedzi.

Czekał jeszcze czas jakiś, wreszcie zdjął go strach ogromny: wpada do pokoju żony — na podłodze spostrzegł puste pudła, papiery, sznury, ślady po jakichś przygotowaniach do podróży. Otworzył szafę — szafa była próżna.

Zimny pot wystąpił mu na czoło. Nie chcąc rozumieć, szuka jeszcze i spostrzega na kominku białą kopertę. Znalazł dość siły, aby przeczytać do końca pożegnalny list Emmy.

Wyjechała i zabrała dziecko!...

Zostawiła go samotnym bez litości.

* * *

Błazen przestał być zabawnym. Zestarzał się i zniedołężniał. Czuł sam, że jest już do niczego. Wkrótce zmuszony był porzucić cyrk. Z trudnością znalazł miejsce w drugorzędnym cyrku, lecz i tu nie bawił długo. Teraz spadał coraz niżej.

O Emmie nie słyszał nic; nie dowiadywał się nawet o nią. Pragnąłby tylko zobaczyć córkę, choć raz, choć na chwilkę. Czy też ona pamięta go, czy mówi o nim z matką?

W dzień świąteczny występował raz w budzie cyrkowej na placu podmiejskim. Buda była pełna. Jak tresowany pies wskoczył na stół, potem na taburet, na lampę i z tego rusztowania miał skoczyć na ziemię, nic nie przewracając. Stojąc wysoko, spojrzał na publiczność z wyrazem, który chciał zrobić komicznym. Nagle zbladł... Stanął z wyciągniętemi rękoma, z szeroko rozwartemi oczyma. Poznał je... W pierwszych rzędach ławek siedziała Emma i jego mała, ukochana Adela.

„Dyrektor" budy na dole niecierpliwił się.

— No, panie clown, skacz pan!

Clown skoczył.

Lecz zamiast stanąć na nogi, padł na plecy... Publiczność, siedząca w pierwszych rzędach ławek, usłyszała suchy trzask, jakby pękających kości.

Błazen ostatnim wysiłkiem uniósł się na rękach i z pełnym grozy uśmiechem utkwił załzawione oczy w córkę, jakby chciał obraz swój wyryć na wieki w sercu dziecka...

A dziewczynka, stojąc na ławce, zanosiła się od śmiechu, tupała nóżkami i klaskała w rączki.

— Jaki on zabawny, mamusiu, popatrz-no! Brawo, panie clown, brawo!...

KRONIKA.

Lwów 11 lipca.

Wsparcia dla rzemieślników. Magistrat miasta Lwowa ogłasza konkurs na cztery wsparcia po 119 koron (sto dziewiętnaście) dla ubogich czeladników krawieckich we Lwowie z fundacji im. Franciszka i Antoniny Bałutowskich. Podania mają być wniesione do magistratu najdalej do 31 sierpnia b. r.

Popis wychowanków miejskiego zakładu sierót odbędzie się w sobotę 13 lipca br. o godz. 4 popołudniu na zakładowem boisku gimnastycznem.

Śpiewak w podróży. P. Aleksander Nosalewicz młody, sympatyczny artysta-śpiewak (bas-baryton) znany z występów we Lwowie, podczas koncertów „Lutni", odbył właśnie kurs wyższy śpiewu w Wiedniu i obecnie, podczas sezonu wakacyjnego, występować będzie z koncertami w naszych krajowych miejscach kąpielowych. Piękny głos, dobra szkoła, sympatyczna powierzchowność zapewniają mu powodzenie. Pierwszym etapem artystycznej podróży Jasło, następnie Truskawiec.

Colosseum letnie. P. Ernest Thorn przeniósł się ze swymi tańczącymi i śpiewającymi artystami, ekwilibrystami i prestidigitatorami pod gołe niebo. Pod dachem było za gorąco produkcjom zręczności i wszelkich „fenomenalności", więc je przeniesiono na dwór do przyległego ogrodu pasażu Hermana. Umieszczono je tam na bardzo zręcznie zbudowanej scenie, ozdobionej dekoracjami pędzla dekoratora Balka. Przed tą sceną widnieje amfiteatr, składający się z lóż i krzeseł. Wszystko wśród drzew na wolnem powietrzu, przy oświetleniu różnokolorowych lampek elektrycznych, wygląda bardzo czarująco. Chyba już teraz publiczność, miłująca produkcje wszelkich fenomenalności i ekscentryczność, na zbytnie gorąco podczas przedstawienia, nie będzie miała powodu narzekać. Te trzyk letni „Colosseum" dyrektora Thorna, przedstawia się nietylko wygodnie, ale też nadzwyczaj efektownie i posiada cechy naprawdę wielkoeuropejskie. Właśnie na wczorajszem posiedzeniu magistratu, otrzymał p. Thorn koncesję na odbywanie przedstawień w tym nowym letnim teatrzyku. Publiczność zainteresowana tą reformą Colosseum, zapewne oglądnie je licznie.

Wąż na policji. Ze względu na zbliżającą się gwałtownie kanikułę, węże zaczynają zaglądać nie tylko do redakcyj pism codziennych, ale także do biur policyjnych. Do biura policyjnego t. zw. bezpieczeństwa, którego szefem jest nadkomisarz Kreiner, przyniósł wczoraj żołnierz policyjny... węża, nie morskiego, ani lądowego, ale najzwyczajniejszego węża magistrackiego od polewania ulic. Jest to wąż niezupełny, bo składający się tylko z głowy i części tułowia przedniego, który został skradziony przez jakiegoś rzezimieszka w jednym ze składów miejskich. Rzezimieszek schwytany przez policjanta, węża rzucił, a sam uciekł. Obecnie wąż ten jest jeszcze wciąż do oglądania w biurze p. Kreinera.

Wódka, rak, dwie bańki i policjant. Wczoraj w nocy niósł zarobnik Michał Rak idąc przez ulicę Janowską dwie duże bańki, napełnione wódką. Zainterpelowany przez policjanta, skąd te bańki z wódką pochodzą, stracił do tego stopnia kontenans, iż postawił bańki na ulicy a sam drapnął i schronił się w jednym z pobliskich szynków. W godzinę potem, gdy wychodził nieco „pianawy" natknął na tego samego policjanta, który go aresztował i sprowadził na inspekcję policyjną.

Zguba. Pani Helena Garczyńska, przejezdna, żona dyrektora Banku zaliczkowego z Podhajec, idąc dziś rano o godzinie 11 przed południem zgubiła na ulicy Słowackiego torebkę, w której znajdowała się książeczka Banku krajowego na 2.400 koron opiewająca i portmonetka z zawartością 20 koron.

Lód miejski. Tyle się używa na potrzeby codzienne lodu, bo już nie mówimy o restauracjach. Dotychczas lodu tego dostarczały stawy prywatne. Pożal się Boże, jaki to był nieraz lód. Ile błota, nieczystości i innych tym podobnych wcale nieoczekiwanych domieszek. Było się nieraz w bardzo nieprzyjemnem i niedopozazdroszczenia położeniu, gdy trzeba było lód ten konsumować. Obecnie możemy sobie z pociechą powiedzieć, że doczekaliśmy się bardzo wykwintnego i ze wszech miar hygienicznego lodu. Z otwarciem nowej na europejską stopę urządzonej rzeźni miejskiej mamy sposobność codziennego nabywania sztucznego lodu. Fabrykowany on jest w osobnej hali, zapomocą stosownego aparatu z czystej nieskazitelnej wody dobrostańskiej. Ogromną korzyść, jaką z tego rodzaju filji lodowej w rzeźni miejskiej ciągnąć może ogół mieszkańców, ocenić mogą tylko ci, którzy tego lodu potrzebują. Nb. dodajemy, że lód ten jest w porównaniu ze swej jakości do innych tego rodzaju surogatów niebywale tani.

Szajka morderców i rabusiów. Z Kołomyi donoszą nam 9 bm. Wczoraj radca Wilecki ogłosił wyrok: Michał Nadurak i Wasyl Mykielejuk skazani zostali na karę śmierci przez powieszenie, Dmytro Tkaczuk na 6 lat ciężkiego więzienia, Mikołaj Kurdyban i Wasyl Poddibrywny każdy na trzy lata ciężkiego więzienia.

Wzięci na kawał. *Echo przemyskie* donosi: Dwóch osławionych lichwiarzy w Przemyślu Majer Wohl i Ber. H. w braku robienia w czem innem interesu stanęli w zeszłym tygodniu do publicznej licytacji kamienicy p. T. Na serjo nie chcieli oni nabyć kamienicy, tylko sądzili, że licytując zniewolą ojca p. T. do wręczenia im odstępnego. Tymczasem p. T. podbijał ciągle cenę kupna w górę, a obaj lichwiarze znów ją podwyższali, pewni, że w końcu coś złapią. Gdy cena kupna przekroczyła istotną wartość kamienicy, odstąpił p. T. od licytacji i Majer Wohl z towarzyszem przepłaciwszy kamienicę zostali jej właścicielami. Obecnie targają z rozpaczy pejsy i brodę i proszą na klęczkach propinatora, aby przynajmniej odkupił od nich kamienicę za opustem kilku tysięcy złr.

Jubileusz papieski Ojca św. W Rzymie utworzył się komitet, mający na celu przygotowanie w całym katolickim świecie odpowiednich uroczystości na nadchodzący jubileusz 25 lecia papiestwa Leona XIII, przypadający na początek marca roku przyszłego. Prezesem komitetu został kardynał wikary Rzymu ks Respighi, który w tych dniach rozesłał do wszystkich arcybiskupów i biskupów świata całego list, wzywający książąt kościoła, aby poczynili odpowiedne przygotowania do obchodu jubileuszu w swych parafjach.

Rada dla carowej. Z Budapesztu telegrafują nam: Pop Kanten w Oravicy w Serbji, wystosował do cara następujący telegram: „Jeżeli W C. Mość chce sobie zapewnić następcę tronu, to należy uprosić cesarzowę, aby nowouarodzone dziecko przez krótki czas karmiła tylko prawą piersią. Jeżeli W. C. Mość chce się o prawdzie słów moich zapewnić, to mogę rzecz bliżej wyjaśnić ustnie, lub pisemnie." Kanten uchodzi za bardzo uczonego i jest przez swych wiernych wysoko ceniony. Od lat kilkunastu zajmuje się studjami leczniczemi.

Upały w Rosji. I w caracie, podobnie, jak w Ameryce, panują w tym roku szalone upały. Z Kurska np. piszą: Panujące tu w ostatnich czasach iście tropikalne upały, doprowadzają rolników do rozpaczy z obawy o urodzaje. Dużo zwłaszcza złego narobił upał właścicielom ogrodów owocowych i warzywnych, które w całej okolicy zupełnie słońce wypaliło. Upał, dochodzący do 50° R., przyczynił się do wywołania niezmiernie ciekawego i rzadkiego zjawiska, fata morgany. Podczas największego upału, niebo zaczęło się pokrywać tęczowymi paskami, a następnie, jak gdyby na ekranie od czarnoksięskiej latarni, zaczęły się zarysowywać kontury wież kościołów, domów itp., aż wreszcie z zupełną dokładnością można było rozeznać odbicie całego miasta Utrzymują, że to był Charków, odległy o 40 wiorst. Zjawisko, po krótkiej chwili, zaczęło blednąć i w przeciągu 10 minut niebo było znów zupełnie czyste.

Królowa na wygnaniu. Wiadomo, jak rząd francuski obchodzi się „rycersko" ze zdetronizowaną królową Madagaskaru. Wyznaczono jej mieszkanie małe, niewygodne; musi się żywić własnym kosztem ze szczupłej pensji, którą jej dają zwycięzcy. Marzeniem biedaczki było obstalować sobie piękną suknię w pierwszorzędnym magazynie, ale to drogo kosztuje, a królowa musi oszczędzać. Jeden ze współpracowników *Presse*, pomimo ścisłego dozoru, pod jakim znajduje się Ranavalo, zdołał do niej dotrzeć i spytał, czy pozwoli otworzyć składki na kupno toalety? Królowa przyjęła ten dowód współczucia z łaskawością. W *Presse* ogłoszono ową niezwykłą subskrypcję, która przyniosła 730 fr. 45 cent. Ranavalo kupiła sobie suknię atłasową, żółtą, przybraną *crêpe de chine*. Radość jej nie zna granic.

Kartuzi opuszczają Francję. Zakonnicy z La Grande Chartreuse, wyrabiający słynny likier „Chartreuse" mieli zamiar, według obiegających pogłosek, opuścić Francję i przenieść się do Austrji ze swojem przedsiębiorstwem przemysłowem z powodu ustawy o kongregacjach. Tymczasem ostatni numer paryskiego dziennika *Matin* przyniósł zaprzeczenie tej wiadomości ze strony przeora tego klasztoru, który jest kolebką zakonu Kartuzów. — Rzeczywiście Kartuzi budują w Austrji w miejscowości Pietriach klasztor, ale nowa ta siedziba powstaje tylko z powodu wzrostu zakonu, a nie ma żadnego związku z rzekomym zamiarem przeniesienia z Francji wyrobu „Chartreuse". Mimo tego urzędowego zaprzeczenia utrzymuje się pogłoska, że zakonnicy z La Grande Chartreuse, jako nieposiadający autoryzacji państwowej, czynią przygotowania, ażeby w danym razie opuścić Francję. Budynki fabryczne w La Grande Chartreuse należą przeważnie do państwa, które je podczas wielkiej rewolucji skonfiskowało. Kartuzi płacili pierwotnie 500 franków czynszu, który wzrósł obecnie do 30.000 franków. Wszystkie przedsiębiorstwa Kartuzów w departamencie Izery oszacowano na 5,300.000 franków. Tytułem podatku płacili zakonnicy 17.000 franków.

Rady Rotszylda. W czasach krytycznych, jakie nawiedziły obecnie bank lipski, przypominają sobie słynnego Nathana Rotszylda, założyciela domu londyńskiego. W r. 1825 giełda londyńska przechodziła przesilenie pieniężne tak silne, że rząd postanowił wmieszać się w tę sprawę. Ks. Wellington zawezwał do siebie Nathana Rotszylda celem naradzenia się z nim, co do przedsięwzięcia odpowiednich kroków.

— Co mamy robić — zapytuje Wellington — by zaradzić obecnej katastrofie.

— Trzeba tylko posłać na dół Cole — brzmiała lakoniczna odpowiedź bankiera.

— Jakto Cole, co pan przez to rozumiesz? — pyta zdziwiony książę.

— Rozumiem przez to, aby posłać agenta giełdowego Cole'go, by z polecenia rządu zakupił papierów państwowych *Exchequer bills* za pół miljona i to doprowadzi ludność rozgorączkowaną do równowagi.

Rada odniosła pożądane skutki.

Innym razem, gdy dom bankierski Mastermana był zachwiany i sam Rotszyld miał tam znaczne sumy zaangażowane, radzono mu, by je wycofał. Rotszyld usłuchał niby tej rady i udał się do biura bankierskiego, gdzie u wejścia tłumy czekały z najżywszą niecierpliwością na otrzymanie swej gotówki. Rotszyld na samym progu odezwał się głośno do urzędnika banku temi słowy, podając mu zwój papierów:

— Przynoszę tu 200.000 funtów szterlingów w papierach państwowych. Proszę je zliczyć i zapisać na moje dobro.

To uratowało dom bankierski od upadku.

Prawdziwy patrjarcha. O niezwykle licznej rodzinie piszą z Nowego Jorku. W Forter (Stany Zjednoczone Kentukki) od lat wielu mieszka żyd handlarz Lewi Bresson, który licząc obecnie lat 65, 41 razy był ojcem, z tej liczby 36 dzieci jest przy życiu i mieszkają w 15 stanach i 3 prowincjach kanadyjskich. Pierwsza żona obdarzyła Bressona 7 razy bliźniętami, druga 3 razy trojaczkami i 2 razy po dziecku, trzecia zaś wydała na świat tylko jednego potomka. Bresson jest właścicielem dość okazałej fermy (folwark), obszaru 100 akrów ziemi, a prawdziwą dla niego chlubą jest to, że od czasu, gdy ziemia ta stała się jego własnością, rodzina jego tylko ją uprawia.

Oszukani szewcy. W tych dniach dwóch szewców warszawskich padło ofiarą bardzo pomysłowego oszusta. Do sklepu z obuwiem p. X. wszedł elegancko ubrany młodzieniec i wybrawszy sobie lakierki, polecił je przynieść za godzinę na ulicę Wspólną pod wskazany numer. Ponieważ szewc odmówił przysłania bez pieniędzy, młodzieniec pozostawił rubla zadatku, obiecując resztę wręczyć chłopcu, który buciki przyniesie, ponieważ, jak objaśnił, „to mama zapłaci". Właściciel sklepu, nie podejrzewając podstępu, buciki odesłał, po upływie jednak godziny chłopiec powrócił z jednym bucikiem z lewej nogi niby „do rozbicia". Zapłacić ten pan obiecał, jak odniosę bucik — objaśnił na zapytanie o pieniądze chłopiec. Poprawienie bucika trwało parę godzin i przed wieczorem lakierek odesłano nabywcy, lecz go w domu nie zastano, a zapytany stróż odpowiedział, iż ten pan się wyprowadził popołudniu. Właściciel sklepu był przekonany, że kundman zgłosi się nazajutrz, ponieważ w jednym buciku nikt nie chodzi, kiedy jednak po kilku dniach młodzieniec się nie zjawił, sprawa stała się tajemnicą. Wkrótce jednak została wyświetloną. Oto ów młodzieniec taką samą operację wykonał z sąsiadem, tj. z drugim właścicielem sklepu z obuwiem, gdzie sobie dobrał podobniuteńki lakierek (z tym udało mu się bez rubla zadatku) na lewą nogę odesławszy do poprawienia prawy i tym sposobem doszedł bez pieniędzy do eleganckich bucików.

Egzotyczni smakosze. Oryginalny jadłospis opiewał potrawy bankietu, wydanego w tych dniach w Paryżu. Brało w nim udział dwunastu uczonych i literatów. Podano im naprzód zupę z aligatorów, następnie pletwy morskiej hai w sosie, dalej smażoną głowiznę — lwią, łapy słoniowe, potem słodycze: małpie orzechy w gorącym syropie, ryż przygotowany na sposób indyjski, migdały i pistacje. Jeden z gości oświadczył, że zupa z aligatorów jest daleko smaczniejsza od żółwiej, że lwia głowizna byłaby lepsza od wieprzowej, gdyby lew był mniej sędziwy, co zaś do łap słoniowych, to specjał niezrównany. Zmarły Frank Buckland, największy z gastronomów angielskich, dowodził, że najdelikatniejsza cielęcina nie dorównywa mięsu z aligatora; ustępuje on jedynie smakowi węża boa. Epikurejczycy francuscy lubują się w „lwinie" i „tygrysinie". Niedawno dwudziestu smakoszów paryskich zjadło na jednym obiedzie całą przednią część lwa, sprowadzonego z Algieru. Na bankiecie, wyprawionym przez bogatego Chińczyka w Londynie, podawano bambusy w sosie z cebuli, żaby, gniazda jaskółcze, potrawkę z rekinów i herbatę na 22 sposobów. Afrykański podróżnik Clapperton dowodzi, że mięso małp jest bardzo smaczne i przypomina pieczyste z królika. W Camerze Club w Londynie odbył się niedawno obiad, urządzony przez Henryka Stezensa; goście częstowani byli łopatkami reniferów, ogonami kangurów, jajami krokodylów i aligatorów.

Z kraju.

Borysław. (*Trujące grzyby*). Przed kilku dniami wieśniak znalazł w lesie trzy grzybki. Spotkawszy znajomego chciał go uraczyć, upiekli tedy znalezione grzybki i zjedli wspólnie. Grzyby widocznie były trujące, gdyż obaj zachorowali gwałtownie, a lekarzowi z wielkim trudem udało się uratować obydwu.

(*Nowy kościół*). W niedzielę 14 b. m. odbędzie się u nas niezwykła uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego pod nowy kościół w Borysławiu. Dotychczasowy kościółek jest bowiem za szczupły dla wielkiej liczby robotników i inteligencji przebywających w Borysławiu. Właściciele więc kopalń, kierownicy, inżynierowie, oraz i robotnicy czując potrzebę nowego kościoła, pospieszyli z chlubną ofiarnością, aby zebrać fundusze potrzebne na budowę świątyni i zebrano też w krótkim stosunkowo czasie około 34.000 koron. Aktu poświęcenia dokona uroczyście ks. infułat Łękawski, prepozyt kapituły łacińskiej w Przemyślu, kazanie zaś wygłosi ks. dr. Łabuda.

Stanisławów. (*Pojedynek*). Wczoraj odbył się tu pojedynek między nadporucznikiem W. a auskultantem sądowym T., który wyzwał pierwszego z powodu słownej obrazy czci. Pan T. otrzymał silne cięcie powyżej lewego obojczyka.

---

* **Basen (wielka pływalnia)** w zakładzie kąpielowym św. Anny (ulica Akademicka l. 10), otwarty dla panów od godziny 6—9 rano i od 12 w południe do 8 wieczorem; dla pań od godziny 9—12 w południe. W niedziele i święta basen otwarty tylko dla panów od godziny 6 rano do 3 popołudniu. — Lekcji pływania udziela egzaminowany nauczyciel. — Kąpiel 25 ct., w abonamencie 20 ct.

* **Colosseum Thorna.** Zupełnie nowy sensacyjny program z pierwszorzędnemi atrakcjami świata! Riccardo i Benedetto, sławni parodyści oper. Iben Obed, arabski artysta fantastyczny. Rodzeństwo Berger, tancerze „Schuhplattl". Elvira Oceana and Max, ewolucje na trapezie i kółkach. Brooks i Ducan, najznakomitsi i najkomiczniejsi amer. ekscentryczni murzyni. Charles Pauly, artysta w gwizdaniu i naśladowca głosów ptasich. Trupa Grawfort, gimnastycy parterowi. Hombert and Renardo, Musical Burlesque Excentrics. Mlle Kicki, śpiewaczka tyrolska. Siostry Gasch, najznakomitsze akrobatki współczesne. — Codziennie o godzinie 8-mej wieczorem wspaniałe przedstawienie. Co niedzieli i święta dwa przedstawienia o godzinie 4-tej popołudniu i o godzinie 8-mej wieczorem. Co piątku High-Life. — Bilety wcześniej są do nabycia w biurze dzienników p. Plohna, ulica Karola Ludwika l. 9

* **Zaproszenie.** W niedzielę dnia 14 lipca 1901 o godzinie 9 rano zbiorą się wszystkie korporacje rękodzielnicze ze sztandarami w ratuszu, skąd w gremjalnem pochodzie razem z członkami Stowarzyszenia wzajemnej pomocy mieszczan lwowskich, udadzą się do kościoła OO. Bernardynów na uroczyste nabożeństwo, ku uczczeniu patrona bł. Jana z Dukli, jako w 40-to letnią rocznicę istnienia Stowarzyszenia.

Na tę niezwykłą uroczystość Izba rękodzielnicza uprzejmie zaprasza pp. przełożonych i członków korporacji ze sztandarami.

* **Wycieczkę do Truskawca** urządza w niedzielę Tow. muzyczne im. Moniuszki w Stryju. W program wchodzą: zwiedzenie zakładu, odśpiewanie kantaty przed pomnikiem Mickiewicza i wieczorem koncert.

* **Komisja lekcyjna** słuchaczów wydziału filozoficznego Uniwersytetu we Lwowie, pozostająca pod naczelnym kierownictwem prof. Twardowskiego, poleca kwalifikowanych korepetytorów i nauczycieli domowych.

Zgłoszenia ustne przyjmują członkowie komisji codziennie, (nie wyłączając niedziel i świąt) na Uniwersytecie, I p. Sala VIII, między 12—1. — Adres: Komisja lekcyjna słuchaczów wydziału filozoficznego, — Lwów, — Uniwesytet.

Zmarli:

Jan Nepomucen Rybicki, żołnierz z r. 1863, były właściciel dóbr, ojciec artystki teatru krakowskiego panny Ordonównej, zmarł w Krakowie, w 59 r. życia.

Notatki literackie i artystyczne.

Repertoar teatru miejskiego we Lwowie. Dziś we czwartek, po cenach popołudniowych, „Koralja i Spółka", krotochwila w 3 aktach Valabreque'a i Hennequin'a.

Jutro w piątek przedstawienie jubileuszowe 40-letniej pracy scenicznej Tytusa Gembickiego: „Natałka Połtawka", opera w 3 aktach Kotlarewskiego, wykonają artyści teatru ruskiego, z udziałem pani Łopatyńskiej, w roli tytułowej i „Z dobrego serca", obrazek sceniczny w 1 akcie Łucjana Rydla, wykonają artyści teatru miejskiego. W antraktach odśpiewają: pani Kliszewska i pan Orzelski, ruskie narodowe pieśni. Zakończy „Kozak" w 6 par, układu p. Niżankowskiego Ceny zwyczajne dramatu.

W sobotę, po cenach zwykłych, po raz pierwszy „Ładne polowanie" („*Monsieur Chassé*"), krotochwila w 3 aktach Jerzego Feydeau; tłumaczył M. Sachorowski.

W niedzielę, po cenach zniżonych, „Wesele", dramat w 3 aktach Stanisława Wyspiańskiego.

W poniedziałek „Ładne polowanie", krotochwila w 3 aktach Jerzego Feydeau; tłumaczył M. Sachorowski.

„Bibljoteka warszawska". Wydawnictwo *Bibljoteki warszawskiej* objął ordynat hr. Adam Krasiński, zięć hr. Kazimierza Badeniego. Hr. Krasiński, podpisywać będzie także *Bibljotekę*, jako redaktor odpowiedzialny

Dzienniczek bibljograficzny. Nowe książki, otrzymane przez Księgarnię polską we Lwowie:

Almae Matri Jagellonicae, qui ab ipsa multa olim in litteris perceperant, quinque saecula feliciter peracta. 2 k. 50 h

Bełza Wł. Szkice, wspomnienia, obrazki. 2 k 60 halerzy.

Better R. Praktyczna hodowla kwiatów w pokoju (z licznymi rysunkami w tekście). 4 k. 25 halerzy.

Daszyński I. Szlachetczyzna, a odrodzenie Galicji. Nakład drugi. 1 k.

Dickstein S. Arytmetyka w zadaniach w trzech częściach. Część I. Liczby całkowite. Z drzeworytami w tekście. Wydanie 2 poprawione i rozszerzone. W oprawie kart. 2 k. 10 h.

Dydacki J. Zgasłe ogniki, poezje. Monaster z Andreszu. Legenda rumuńska. 2 k.

Cenar Edm. Gry i zabawy ruchowe różnych narodów. Systematyczny układ, ozdobiony licznemi rycinami i tablicą z przyborami. 4 k.

Eloe. Pieśni intruza. 1 k.

Grabowski A. Kraków i jego okolice, opisał historycznie. Wydanie szóste rozszerzone z 57 drzeworytami. W oprawie. 3 k

Guttmann dr. S. W. Bilekurim I. Zbiór egzort, wygłoszonych dla dziatwy szkolnej żydowskiej. 1 k.

Hoyer H. Podręcznik histologji ciała ludzkiego. Zbiorowo napisany przez 15 profesorów i uczonych. Z 230 rysunkami w tekście. 6 k. 30 halerzy.

James W. Czy warto żyć, z angielsk. przełożył W. Kosiakiewicz. 95 h

— W obronie wiary, z ang. przełożył W. Kosiakiewicz. 95 h

Karpiński dr. W. J. Choroby buraków cukrowych t Zgorzel siewek buraczanych. Zgorzel liści buraczanych. Bakteroyra buraków (z tablic. chronolitograficznemi). 3 k. 50 h.

Korbat O. Michał Wiszniewski i spuścizna po nim. 65 h.

Korpiński dr. W. i T. Rutkowski. Kalendarz dla uprawiających buraki cukrowe na rok 1901. W opraw. 1 k. 84 h.

Kucharzewski. Początki prawa małżeńskiego. 2 k.

Lityński M. Wiek XIX. Obrazy historyczne. Dzieło ilustrowane. 4 k.

Mogilnicki A. Obrońca kryminalny, a opinja publiczna. 52.

Orłowski A. Deklamator VI. Satyry, deklamacje i monologi. 55 h.

Or-Ot i Leśniewska. 500 powinszowań na uroczystości urodzin, imienia i Nowego roku. W oprawie 2 k. 60 h.

Puszet L. Nowe klejnoty stoł. miasta Krakowa, fejletony. 1 k.

Ustawa o rybołowstwie z dnia 31 pa-

Izba sądowa.

Kraków 10 lipca.

(Okradzenie robotnika).

Andrzej Białek powracał dnia 16 czerwca br. przez Kraków pod strzechę ojczystą z Prus, gdzie ciężko pracował przy robotach polnych. Wracał zadowolony, bo wiózł ze sobą kwotę 60 koron 80 halerzy. Kupiwszy sobie za 9 koron 40 halerzy bilet III klasy z Krakowa do Krasnego, udał się do poczekalni III klasy, aby zaczekać na pociąg. Obok niego usiadło 2 chłopaków. Za chwilę portjer wezwał czekające osoby, ażeby wsiadły do pociągu. Ruszył też z innymi Andrzej Białek, w drodze jednak spostrzegł, że mu skradziono cały jego ciężko zapracowany grosz, oraz bilet kolejowy. Nieszczęśliwym zaopiekował się komisarz policji na dworcu p. Kostrzewski, który wpadł na myśl, że prawdopodobnie sprawca kradzieży zużytkował skradziony bilet kolejowy i za nim podróżuje. Sprawdził też p. Kostrzewski, że bilet, kupiony przez Białka, miał nr. 0035 i że kasa kolejowa jeden tylko bilet sprzedała do Krasnego.

Wezwany przez p. Kostrzewskiego zarząd stacji kolejowej w Krakowie polecił telegraficznie konduktorom pociągu, ażeby zarządzili przytrzymanie podróżnego, jadącego do Krasnego za biletem nr. 0035. Depesza odniosła dobry skutek. Za biletem wspomnianym jechał 16-letni Karol Marzec z woli Batorskiej, znany krakowskiej policji i wydalony z tutejszego rejonu policyjnego. Aresztowano Marca w Bochni; znaleziono jednak przy nim tylko 1 k. 50 h. Przewieziono go do Krakowa, a tutaj przy ponownej rewizji znaleziono zaszyty w jego bieliźnie banknot na 20 koron, we wstążce zaś od kapelusza banknot na 10 koron. Dzisiaj odbyła się pod przewodnictwem p. radcy Kulikowskiego rozprawa przeciw Karolowi Marcowi o zbrodnię kradzieży i niedozwolony powrót do Krakowa. Tłómaczył się tem, że znalezione przy nim pieniądze zarobił w Warszawie, a bilet kolejowy kupił na dworcu.

Trybunał skazał obwinionego Karola Marca na 3 miesiące więzienia.

Ferd. Bol czy Rembrandt?

Dziesięć lat temu wywołało w Europie wielką sensację dzieło Maxa Lautnera (Wrocław 1891) pt. „Kto jest Rembrandtem?“ — Autor dowodził w niem, na podstawie rozmaitych badań swoich i spostrzeżeń, że wielkim twórcą dzieł nieśmiertelnej sławy, nie był Rembrandt, lecz Ferdynand Bol. Przedewszystkiem tedy oparł się na podpisach i monogramach, które z pomocą fotografji odnalazł na obrazach „Rembrandta“. Następnie dowodził na podstawie „biografij“, że niemożebnem jest, aby to Rembrandt wymalował przypisywane mu obrazy. — Przedstawia go jako człowieka małodusznego, wprost bez charakteru, który nigdy nie zdołałby wniknąć w głębie duchowe twórcy płócien tzw. „Rembrandtowskich“. Musiałyby bowiem mieszkać „dwie dusze“ w piersiach Rembrandta.— Wreszcie wskazywał Lautner na bankructwo majątkowe Rembradta i twierdził, że artysta, który — wnosząc z dzieł mu przypisywanych — musiał mieć dochody znaczne, absolutnie nie mógł popaść w taką biedę i niedostatek, jak to w samej rzeczy u Rembrandta było.

Orkan oburzenia zerwał się wtedy zewsząd na autora, wyśmiano go, wyszydzono i ze swymi dowodami kompletnie osamotniono. Dopiero po upływie 10 lat, teraz właśnie, ukazał się w druku artykuł profesora Rincklake'go, znanego architekta, który odgrzebał dzieło Lautnera o Rembrandcie z pyłu zapomnienia i przyznaje mu zupełną słuszność. Jeśli ktoś pozwoli sobie — pisze on pomiędzy innymi — wobec uczonych obrońców Rembrandta odwołać się na podpisy, które raz odnalezione, gołem nawet okiem widzi się na obrazach „Rembrandtowskich“, w takim razie wszyscy oni mienią to „absurdem“. Powiadają, że te znaki pisma powstały z przypadku, że bujna wyobraźnia zdoła z rysów i pęknięć farby skonstruować sobie takie podpisy, zwłaszcza, że się je na kilku miejscach, na tym samym obrazie spotyka.

Zagalopowano się nawet tak daleko, że przytaczano możliwość, iż to fabrykant płótna wypisywał na niem nazwisko swoje i ono dzisiaj z pod farby przebija. Zatem Bol miał być dostawcą płótna dla Rembrandta! Natomiast „dowód niezbity“ upatrują obrońcy jego w radyrunkach, „niezaprzeczenie doń należących“, których przynależność do twórcy obrazów odnośnych jasno przecie wypływa.

Otóż i ten dowód jest błahy! Przedemną leży wspaniałe dzieło M. C. Blanca „L'oeuvre de Rembrandt“ (Paryż 1880). — Przerzucając prześliczne tegoż karty, spotykam pod nr. 230 „Rembrandt en burte“ podpis Rembrandta odwrotny, (do przeczytania w lustrze). Tutaj przeto podpisał on na płycie miedzianej swoje nazwisko w sposób zwykły (nie odwrotnie do odczytania w zwierciedle). To spowodowało mię, że badałem i inne kartony w zwierciedle i wtedy — ku zdumieniu memu — odkryłem niemal na wszystkich radyrunkach (zupełnie, jak Lautner na obrazach), w wielu miejscach jasno i wyraźnie nazwisko F. Bol.

Tu już nie ma wątpliwości. Fakt ten nie da się zaprzeczyć! Wydało mi się tak, że jak gdyby Bol, ukończywszy jaką płytę, narzędziem tępem, albo zaostrzonym sztyftem z drzewa, lub nawet pędzlem, w żrącym kwasie umaczanym, kładł swe nazwisko tam wszędzie, gdzie to się dało zrobić bez uszczerbku dla płyty. Nie raziło go nawet, gdy na poprzek twarzy tu i ówdzie się podpisał. Co więcej, uprawiał w tej mierze rodzaj jakby sportu, to też większe i mniejsze „Bol“ czyta się dzisiaj niemal na wszystkich radyrunkach. Dawno uznana, a zdumiewająca tożsamość techniki w obrazach Bola, jako jego uznawanych, a Rembrandta radyrunkach, wytłumaczą się w ten sposób: **Wszystkie one są dziełami Bola.**

Twierdzenia te prof. Rincklake'go wywołają teraz ponowną burzę wśród gorących wielbicieli Rembrandta i niewątpliwie rozpocznie się po raz drugi sroga polemika: Bol, czy Rembrandt?

Prawdziwy dramat.

Kilka dni temu wydobyto z Newy zwłoki utopionej młodej, przyzwoicie ubranej dziewczyny. Do pasa przywiązane było ciężkie żelazko do prasowania, na piersiach zmarłej znaleziono minjaturę na srebrnym łańcuszku.

Dopiero na trzeci dzień zdołano stwierdzić osobistość denatki, jak się okazało, ofiary ironji losu.

Była to 25-letnia Anna Piworowiczówna, mieszkająca w Petersburgu z matką, wdową. Młoda Anna była zaręczona z Bożymirem Dawydowem, nauczycielem z Warny w Bułgarji, młodym, energicznym człowiekiem.

Gdy w Bułgarji wybuchnął ruch macedoński, narzeczony wyjechał do kraju, dokąd go wzywał obowiązek. Do narzeczonej pisywał często, przyrzekając prędki powrót.

Po pewnym czasie listy przestały przychodzić i w kwietniu br. nadeszła smutna wiadomość, że Dawydow, aresztowany za udział w ruchu macedońskim, został z innymi rozstrzelany.

Rozpacz młodej dziewczyny nie miała granic. Po kilku dniach oświadczyła matce, że zdecydowała się pojechać, aby odszukać ciało ukochanego. Matka zezwoliła, myśląc, że podróż dobrze wpłynie na usposobienie zrozpaczonej córki. Anna wyjechała, a nazajutrz matka otrzymała od niej pocztą list, w którym prosiła, aby jej nie szukano.

Odtąd matka nic już o córce nie słyszała. Była jednak pewną, że Anna wyjechała przez Odessę do Bułgarji, tembardziej, iż w kilka dni później otrzymała wiadomość, że narzeczony córki żyje, a rozstrzelani zostali tylko jego towarzysze.

Tymczasem, jak się wyjaśniło teraz, biedna dziewczyna, nie mogąc przenieść ciężkiej straty, rzuciła się w nurty Newy, przywiązawszy sobie do pasa ciężar. Matka poznała ciało córki.

U emancypantki.

Z okazji otwarcia pierwszej apteki w Petersburgu przez kobietę pannę Leśniewską, tak o tej „emancypantce“ pisze jeden z dziennikarzy warszawskich:

Przeczytawszy wczoraj po południu rękopis listu pana L. P. z Petersburga o pannie Antoninie Leśniewskiej, założycielce pierwszej w Europie apteki kobiecej, udałem się natychmiast balonem nad Newę w chęci poznania tej niebezpiecznej dla rodu naszego emancypantki i porównania jej z przeciętnym typem głośnych emancypantek warszawskich.

Los zrządził, że zaraz po przyjeździe wieczorem spotkałem ją w domu wpólnego znajomego, aptekarza, i... odrazu doznałem przykrego zawodu.

Panna Leśniewska, ma około 35 lat, a nie używa żadnych środków odmładzających, pomimo to, że apteka jej zaopatrzona jest w różne kosmetyki zagraniczne. Ubiera się i czesze, jak przeciętna skromna śmiertelniczka, nie nosi *pince-nez*, papierosów nie pali i w rozmowie nie używa żadnych bombastycznych wyrazów. Oto treść naszej ciekawej rozmowy.

Ja: — „Co Szanowna pani myśli o ruchu modernistycznym w literaturze naszej?“

Panna L.: — „Przyznam się panu, że nie mam czasu na studjowanie różnych dusz „chorych“, „nagich“ i tym podobnych; sądzę zresztą, że społeczeństwo nasze, więcej niż inne jakiekolwiek, interesować się winno „zdrowemi“ duszami ludzi, którzy chcą i mogą pracować z energią i siłą woli w naszych czasach ogólnej o byt walki...“

Ja: — „Czy sądzi pani, że w walce tej ulegniemy z czasem płci pięknej?“

Panna L.: — „Odpowiem panu na to komunałem, że w walce o byt uledz muszą próżniacy i dyletanci; — pole pracy dla wszystkich stoi otworem.“

Ja: — „Jakie jest zdanie pani w kwestji przekształcenia stroju kobiecego?“

Panna L.: — „Kwestja ta nie obchodzi mnie zupełnie, boć przecież „nie suknia zdobi człowieka.“

Ja: — „Czy nie sądzisz pani, że ciężka praca w laboratorjum aptecznem wpłynąć może na zwyrodnienie tego specjalnego wdzięku kobiecego, który jest niezbędnym czynnikiem skutecznego flirtu — jako preludium do małżeństwa?“

Panna L.: — „Znam bardzo szczęśliwe małżeństwo, zawierane bez tego preludium, na które, mówiąc nawiasem, ludzie pracy nie mają czasu.“

Ja: — „Sądzę, że subtelny flirt wpływa na zbudzenie i spotęgowanie uczucia i...“

Panna L.: — „Przepraszam pana — oto widzę na stole świeży numer *Przeglądu Farmaceutycznego*, wybaczy pan, że nie oprę się ciekawości...“

. . . .

Wyszedłem z mieszkania państwa X. zupełnie rozczarowany, powtarzając sobie w myśli: „I to ma być typ znanej emancypantki“ — reformatorki praw kobiecych!!...

Poziomki jako lekarstwo.

W ostatnich czasach wyszła z druku rozprawa naukowa prof. patologji na uniwersytecie w Dorpacie, Wasiljewa, w której autor przytacza, iż w r. 1897 zalecił jednemu choremu leczenie podagry poziomkami. Chory ów rozpoczął kurację w Landwarowie około Wilna, rezultaty której w przeciągu paru miesięcy były zadziwiające. Skutkiem tego, następnego roku taką samą kurację zalecono już i w innych chorobach kilku chorym w gub. witebskiej, wileńskiej, mińskiej, kowieńskiej, grodzieńskiej, a także w okolicach Petersburga.

Następnie już prof. Wasiljew zastosowywał tenże rodzaj kuracji do większej liczby chorych i otrzymawszy — jak pisze — świetne rezultaty, zdecydował się ogłosić swoje spostrzeżenia o kuracji poziomkowej, żeby tym sposobem zachęcić i innych do badań w tym kierunku. Praca prof. Wasiljewa rozpoczyna się wzmianką historyczną o leczeniu poziomkami u starożytnych narodów w wiekach średnich i w najnowszych do XIX w.; w dalszym ciągu autor mówi o składzie chemicznym różnych gatunków poziomek i daje wskazówki co do pory roku, miejsca i sposobów leczenia poziomkami.

Biorąc pod uwagę własności poziomek i ich skład chemiczny, prof. Wasiljew wylicza następujące choroby, przy których może być stosowaną kuracja poziomkami: wszelkiego rodzaju zewnętrzne porażenia krtani i języka, brak apetytu, jeżeli on nie jest skutkiem raka w żołądku, kataru żołądka i kiszek, niektóre choroby nerek, żółci i kamieni, podagra, artretyzm i otłuszczenie, neurastenja, słabość muskułów sercowych, ogólny upadek sił i inne.

Wielkie znaczenie przy leczeniu poziomkami ma mieć wybór stosownego miejsca. Taka kuracja powinna być prowadzoną w miejscowości suchej, której klimatyczne warunki są najbardziej zbliżone do warunków stałego miejsca zamieszkania chorego. Kuracja trwa zwykle 2 do 3 miesięcy.

Do kuracji można używać wszelkich gatunków poziomek, lecz w wielu wypadkach należy oddawać pierwszeństwo poziomkom leśnym i truskawkom. Dyjeta i tryb życia w czasie kuracji, zależy od rodzaju choroby.

Prof. Wasiljew przepisuje sposób zachowania się, użycia poziomek, rodzaj dyjety itp.

Podajemy wiadomość o tem, w celu zainteresowania panów lekarzy do badania w tym względzie i wyrażenia swej opinji.

Wesoła wojna.

Podczas oblężenia Pekinu bywały chwile wesołe, jak o tem świadczy dziennik jednego z oblężonych, francuskiego porucznika Darcy, pomieszczony w *Revue des Deux Mondes*. Pod datą 20 czerwca, porucznik pisze:

„Dziś wieczorem około 9 położyłem się na wiszącej macie i zaczynałem już drzemać, gdy zawołał mnie Rosthorn (poseł austrjacki). Zerwałem się i narzuciwszy byle co na siebie, pobiegłem do wyłomu w hotelu, skąd głos dochodził. Pewien byłem, że usłyszę jakąś złą nowinę, ale Rosthorn oznajmił wesoło:

— Wynaleźliśmy nowy napój; musisz go pan skosztować.

W dużej sali hotelowej zastałem wszystkich oficerów i członków niemieckiego poselstwa. Pani Rosthorn i p. Soden nalewali w kieliszki od wina szpańskiego jakąś osobliwą mieszaninę. Objaśniono mnie, że cesarzowa-wdowa nadesłała oblężonym posłom i wojskom cudzoziemskim kilka wozów z owocami. Otóż w jednym z soczystych melonów zrobiono otwór, wysączono z niego ciecz i zaprawiano ją cukrem, winem białem, szampańskiem i arakiem. Mieszanina była bardzo smaczna. Piliśmy ją za zdrowie uprzejmej cesarzowej, panów Jong-Lu i Tong-Fu-Siang, ale najgorętsze toasty wnosiliśmy na przybycie wojsk, oczekiwanych niecierpliwie, mimo pozornej wesołości. Po wypróżnieniu melona, p. Soden wydłubał w nim nos, oczy i usta, wsunął świecę do środka i taką latarnią ozdobił barykadę. Natychmiast z obozu chińskiego rozpoczęła się strzelanina, kilka kul przedziurawiło melon cesarzowej, gdy jednak nieprzyjaciel spostrzegł swą pomyłkę, strzały ucichły, wreszcie sen spowił obie strony walczące“.

DEPESZE

telegraficzne i telefoniczne.

Z sejmów.

Grac 11 lipca. *Grazer Volksblatt* donosi, że komisja konstytucyjna sejmu styryjskiego na wczorajszem posiedzeniu swem uchwaliła 7 głosami przeciw 3 zatrzymać kurję większych posiadłości. Przy obradach nad reformą wyborczą, oświadczył namiestnik hr. Clary, że rząd obstaje przy tem, aby zaprowadzono powszechną kurję, podobnie jak dla rady państwa. Po dłuższej dyskusji uchwalono odroczyć posiedzenie celem porozumienia się między stronnictwami co do stanowiska rządu.

Szykany pruskie.

Gniezno 11 lipca. W lokalu gnieźnieńskiego *Lecha* odbyła policja rewizję, szukając rękopisu, nie znalazła go jednak.

Bankructwa banków w Rosji.

Charków 11 lipca. Z powodu nieprawidłowego postępowania członków byłego zarządu i komisji rewizyjnej banku agrarnego uchwalili akcjonarjusze tego banku wystąpić przeciw winnym na drodze karnej.

Wypadki w Chinach.

Szangaj 11 lipca. Chińskie dzienniki donoszą, że prawy następca tronu Tuchyn wyruszył na północ od prowincji Szansi, gdzie znajduje się jego ojciec książę Tuan. Tam też miały się nagromadzić znaczne oddziały wojska, wrogo dla cudzoziemców usposobionego.

Londyn 11 lipca. *Daily mail* donosi z Pekinu: Japonja ostatecznie zgodziła się na propozycję mocarstw, aby Chiny zapłaciły odszkodowanie w bonach czteroprocentowych.

Rzeź chrześcijan.

Kolonja 11 lipca. *Koeln. Ztg.* donosi z Söul na Korei z 6 b. m.: Na wyspie Analbor toczyła się przez 10 dni walka między katolickimi misjonarzami i uczniami misjonarskimi z jednej a ludnością z drugiej strony.

Dwunastu miejscowych mieszkańców i 300 uczniów misjonarskich zostało w walce zabitych. Winę ponoszą — zdaniem gubernatora — uczniowie misyj, ponieważ popierali egzekutorów podatkowych, żądających zbyt wysokich podatków. Francuski okręt wojenny udał się do wyspy, ponieważ, jak opowiadano, miało w tej walce ponieść śmierć 2 francuskich misjonarzy. Gdy okazało się, że wiadomość ta nieprawdziwa, okręt francuski znowu odjechał. Rząd koreański polecił urzędnikom zbadać te zajścia i dodał im do pomocy kompanję piechoty.

Z tej wiadomości nie można wiedzieć, czy chodzi o ponowny wybuch rozruchów na Korei, czy jest to spóźniona wiadomość z Söul o dawniejszych niepokojach.

Strejk kolejowy.

Rzym 11 lipca. Urzędnicy i służba wszelkiej linji kolejowej postanowili z dniem 15 bm. zastanowić pracę. Król podpisał dekret, zezwalający na użycie siły wojskowej celem zmuszenia strejkujących do pełnienia służby.

Kraków 11 lipca. Dziś o godz. 11-tej przed południem zmarł tu po dłuższej i ciężkiej chorobie fizyk miejski dr. Jan Buszek, który wiele zasłużył się około uporządkowania stosunków sanitarnych Krakowa. Zmarły pochodził z Muszyny, szkoły ukończył o własnych siłach.

Petersburg 11 lipca. Zarząd djecezji kujawsko-kaliskiej poruczono biskupowi sufraganowi ks. Kossowskiemu, na czas nieobecności biskupa tej djecezji ks. Bereśniewicza, który wyjeżdża na dwa miesiące do gubernji kowieńskiej na urlop.

Petersburg 11 lipca. Z okazji złotu Sokolstwa w Pradze, pisze *Nowoje Wremia*, że pangermanizm zaczyna walczyć przeciwko sojuszowi francusko-rosyjskiemu, który — zdaniem dziennika — łączy się ze Słowiańszczyzną zachodnią. Dziennik wymieniony wyraża życzenie, aby duch Sokolstwa rozlał się po całej Słowiańszczyźnie, zaprzecza w końcu wiadomości, jakoby generał Rittich, słowianofil, miał opuścić Pragę z powodu wezwania policji.

Petersburg 11 lipca. Tow. wstrzemięźliwości postanowiło wykluczyć Tolstoja z grona swych członków honorowych, z powodu odpadnięcia jego od cerkwi prawosławnej.

Ostatnie wiadomości.

Walne zgromadzenie członków Towarzystwa leśnego odbędzie się między 10 a 15 październik we Lwowie.

Zginął trębacz z 2 kompanji 17 pułku piechoty. Nazywał się Tomasz Ocasek. Pochodził z Morawy. Przed trzema dniami jeszcze wyszedł z koszar przy ulicy Gródeckiej l. 8, gdzie mieszkał i dotąd nie wrócił. Zdaje się, że zdezerterował.

Kradzież w bazarze miejskim. Do składu obuwia Salomona Karpla w bazarze miejskim przy placu Krakowskim, dostał się zeszłej nocy jakiś rzezimieszek przez oderwaną deskę na stryszku i zabrał stamtąd kilkanaście par obuwia wartości 100 koron. Sprawca niewyśledzony.

Tramwaj czy śmieciarz? Wóz tramwaju elektrycznego nr. 6 natknął się dziś na ulicy Leona Sapiehy, koło zakładu św. Teresy, na wóz magistracki dla zbierania śmiecia. Wszelkie przedstawienia ze strony konduktora tramwaju, by z drogi ustąpił, nie skutkowały, gdyż uzbrojony w swą powagę śmieciarz, krzyczał w niebogłosy: „Wasza robota — nasza robota, ja tu starszy od jakiegoś trambalu“ i t. p. Upór śmieciarza miał ten skutek, że pasażerowie wozu musieli na ustąpienie się „starszego“ od trambalu czekać 10 minut.

Napad. Jeden z naszych prenumeratorów donosi nam, że wracając wczoraj do domu około ½9 wieczór, dla skrócenia drogi puścił się przez ulicę Pełczyńską koło stawu Panieńskiego i został opadnięty przez dwóch drabów ukrywających się w zaroślach. Jeden z nich uderzył go po głowie, a strąciwszy kapelusz potratował go nogami. Ocalenie od obdarcia i cięższego obicia zawdzięcza p. X. tylko swoim nogom.

ZE ŚWIATA

Książę w wozie towarowym. O następcy tronu niemieckiego, kiedy był na studjach uniwersyteckich w Bonn, *Frankfurter Gen. Anz.* opowiada następującą wesołą historyjkę: Książę jechał z kilku kolegami z „Borusji“ z Bonn do Godesberga, ale nie mógł przy przepełnionym pociągu znaleść miejsca w wagonie osobowym. Wówczas rzekł do swoich towarzyszów: „To nic nie szkodzi, chodźmy do wagonu frachtowego“. Przy wsiadaniu pakmajster ostrzegł księcia: „Wsiadanie do wagonu frachtowego zależy od konduktora, prowadzącego pociąg“. „Niech pan tylko nas wpuści — odrzekł książę — jedziemy do Godesberga“. W tej chwili pociąg ruszył i pięciu podróżnych, śmiejąc się, stało wagonie. Książę zaproponował pakmajstrowi cygaro, ten jednak odparł, że palić nie wolno na służbie. Wreszcie z podziękowaniem sięgnął książę po sztukę złotą i dając ją pakmajstrowi, dodał: „Proszę wypić za moje zdrowie wraz z konduktorem“.

Romans z Murzynem. Panna ***, córka zamożnych obywateli Warszawy, bawiąc przez czas dłuższy ze siostrą zamężną we Włoszech, poznała tam bogatego kupca X., który się w niej szalenie zakochał i oświadczył. Panna *** nie dała odpowiedzi, gdyż ma niemały z tego powodu kłopot, ponieważ ów zakochany jest... Murzynem. P. X. jest człowiekiem bardzo wykształconym (urodził się w Ameryce), posiadającym warunki towarzyskie i w dodatku miljonerem, a pomimo tego panna *** nie może się zdecydować, tem bardziej, że siostra, z którą bawiła we Włoszech, odradzała jej stanowczo. Po powrocie do Warszawy rodzice, brat i szwagier również nie zgadzają się na związek z Murzynem, a dodać należy, że pannie *** murzyn-miljoner jakoś przypadł do gustu. X. oświadczył, że jeżeli będzie przyjęty, likwiduje swoje interesy i na stałe zamieszka w Warszawie, ale rodzina *** ani słuchać o tem chce i oznajmiła pannie, że jeżeli chce wyjść za Murzyna, niech się więcej na oczy nie pokazuje i mieszka z mężem za granicą. Pannie *** przykro opuścić rodzinę, a tu Murzyn prawie codziennie nadsyła depesze błagalne o odpowiedź. Co panna *** ma uczynić?

Dział ekonomiczny.

Wiedeń 11 lipca.

(fr.) Sytuacja europejskich targów pieniężnych staje się coraz gorszą. Do szachrajstw bankowych w Niemczech, przyłączają się bowiem liczne inne powody, rozbudzające wielkie zaniepokojenia w sferach finansowych. W Nowym Jorku było znów coś w rodzaju krachu w akcjach kolejowych i w walorach żelaznych, w Rosji, gdzie kapitaliści francuscy, niemieccy i belgijscy, zaangażowali niemal miljardowe kapitały w fabrykach i kopalniach, zapanowało bardzo niebezpieczne przesilenie przemysłowe, a w Turcji szerzy się dżuma.

Wobec takiej konstelacji, kapitaliści stają się trwożliwi, a spekulacja giełdowa nie ma odwagi puszczać się na ryzykowne operacje. Tylko stale oprocentowane papiery dobrej jakości, osobliwie renty, mają teraz zbyt zapewniony i podnoszą się w cenie — zresztą we wszystkich innych kategorjach papierów mamy zniżkę i to bardzo znaczną.

— **Wiedeń** 11 lipca. *(Giełda zbożowa).* (Kursa w koronach i po 50 kilogramów). Pszenica na jesień od 8·20 do 8·22, na wiosnę od —·— do —·—; żyto na jesień od 7·16 do 7·17, na wiosnę od —·— do —·—; kukurydza na czerwiec-lipiec od —.— do —·—, na lipiec-sierpień od 5·61 do 5·62, na sierpień-wrzesień od —·— do —·—, na wrzesień-październik od 5·70 do 5·71; owies na jesień od —·— do —·—, na wiosnę od 6·56 do 6·57; rzepak na sierpień-wrzesień od —·— do —·—, na wrzesień-październik od 13·30 do 13·40, na styczeń-luty od —·— do —·—; olej rzepakowy na wrzesień-grudzień od —·— do —·—. Usposobienie mdłe.

— **Budapeszt** 11 lipca. *(Giełda zbożowa).* (Kursa w koronach i po 50 kilogr.). Pszenica na październik od 7·96 do 7·97; żyto na październik od 6·76 do 6·77; owies na październik od 6·23 do 6·24; kukurydza na lipiec od 5·21 do 5·23, na sierpień od 5·28 do 5·29, na maj (1902) od 4·92 do 4·93; rzepak na sierpień od 12·90 do 13·—. Oferty na pszenicę mierne. Chęć kupna słba. Usposobienie spokoje.

Wiedeń 11 lipca. (Giełda południowa godzina 12 m. 30). Marki 117·50, Renta majowa 99·15, Węg. renta koronowa 93·05, Akcje austr. zakł. kred. 628·50, Akcje węg. zakł. kred. 632·—, Akcje Anglobanku 267·50, Akcje Unionbanku 544·—, Akcje Bankvereinu 446·—, Akcje Länderbanku 404·—, Akcje kolei państw. 633·—, Lombardy 88·75, Akcje kolei Elbethal 479·—, Akcje fabryki broni —·—, Akcje tytoniowe 275·—, Akcje Alpiny 412·—, Akcje Rima Muranji 434·—, Akcje pragskiego Tow. żel. 1.598, Losy tureckie 96·50, Ruble 253·—.

Berlin 11 lipca. (Giełda poranna). Akcje kredytowe 197·60, Tow. dyskontowe 172·75.

TEATR MIEJSKI WE LWOWIE.

We czwartek o godzinie w pół do 8 wieczorem.

KORALIA i SPÓŁKA

krotochwila w 3 aktach Albina Valabregue i Maurycego Hennequin'a; tłumaczył M. Sachorowski.

OSOBY:

Hipolit Dufauret, adwokat	p. Roman
Alicja, jego żona	pni Siennicka
Laura, jej ciotka	pni Gostyńska
Ernest Thommerol, kuzyn Dufaureta	p. Klimontowicz
Jerzy Glapissard, kapitalista	p. Feldman
Klementyna, jego żona	pni Węgrzynowa
Leon Versaquette, malarz	p. Kliszewski
Koralia, właśc. damskiego mag.	pni Rotter
Hjacent, jej mąż	p. Fiszer
Zuzanna de Bougival	pna Nałęcz
Buzenol, pierwszy kom. policji	p. Antoniewski
Flute, jego pisarz	p. Olszański
Poirel, drugi komisarz policji	p. Kosiński

Rzecz dzieje się za naszych czasów w Paryżu.
Akt 1 i 3 u Dufauret'a, 2 u Koralii.

Przyjechali do Lwowa

dnia 11 lipca 1901 r.

HOTEL GEORGE. Hr. H. Drohojowski z Wiednia. H. A Zamoyski z Wysocka. A Horodyski z Dołhobycza. W. Zaleski z Wołynia. L. Landes z Żurawna. L. Szulz z Krosna. O. Wiktorowa z Czudec. H. Horowitz z Mieczyszczowa. E. Brosch z Wiednia. S. Potworowski z Koropiec. K. Weydlich z Podola Rossyjskiego.

HOTEL EUROPEJSKI. Hr. Komarowski z Wiednia. K. Jaworski z Ostrowczyka. St. Komornicki ze Schodnicy. J. Iglicki z Krakowa. M. Heinrich z Warszawy. Major Balasko z Wiednia. M. Pollitzer z Wygody. D. Nowak z Wygody. W. Karpiński z Kołomyji. J. Osberger z Teplitz. K. Osadca z Rosji. Dr. Waygert z Podlisek. E. Gutter z z Marjampola. Major Haas ze Stanisławowa.

W pogoni za mężem.

Romans nowoczesny.

(Przekład z francuskiego.)

I.

Na jednym z balkonów bulwaru Bonne-Nouvelle widnieje napis, wielkiemi złotemi głoskami: „Kosmopolita, kantor wynalazców". Na drzwiach zaś wchodowych pierwszego piętra, oprócz powtórzenia powyższego napisu, wyryto na mosiężnych tarczach wyszczególnienie interesów, jakimi zajmuje się kantor:

„Wyrabianie i sprzedaż patentów na wynalazki we Francji i za granicą. Dochodzenie własności patentów we wszystkich krajach. Poszukiwania pierwszeństwa. Rysunki przemysłowe. Kosmopolita, dziennik tygodniowy illustrowany, M. Chaberton, redaktor".

Za pierwszem poruszeniem klamki, do czego zaprasza tuż znajdujący się napis, znajdujesz się w obszernym pokoju, podzielonym na okratowane klatki, wzdłuż nich przez środek, wyłożony kauczukowym chodnikiem prowadzi korytarz do gabinetu dyrektora. Wytarty i schodzony ten kauczuk dostatecznie stanowi dowód, jak mocną jest pokusa „patentów na wynalazki" i jak biedne ofiary ambicji, lub chciwości, zapędzone raz w ten wir piekielnej maszyny, idą i powracają po tej drodze krzyżowej i nie wybrną z niej inaczej, jak złamane, znękane, wyzute ze wszystkiego, co ma jakąkolwiek wartość pomysłu, lub pieniędzy.

Biedne ofiary! Dopóty walczą przed okratowanem okienkiem, wobec urzędników, zimnych i obojętnych na wszystkie tłómaczenia, prośby i wymówki, dopóki starczy sił moralnych i materjalnych, w końcu zaś upadają pod ciężarem zniechęcenia i rozczarowania...

Ale wnet przybywają inni, jedni za drugimi i przechodzą przez te same próby, przez te same cierpienia, a zawsze z takim samym rezultatem.

Wogóle klijenci, innej są kategorji w godzinach porannych, inni w południe, a inni wieczorem.

Rano, zaledwie Barnaba, posługacz kantorowy, zdoła drzwi otworzyć i uporządkować pokój, wpadają tłumnie ci, których porwał już ów wir piekielny, których gorączka opanowała i już ich nie opuści.

Od epoki szalonych nadziei przeszli do epoki przeszkód i procesów. Przynoszą oni stanowcze wskazówki do sprawy, rozpoczętej od miesięcy, od lat, a która dziś właśnie ma być wyjaśniona, lub też składają opóźniony haracz, który zdołali zdobyć w tejże dopiero chwili, kosztem niesłychanego wysiłku. — Oczekując przybycia urzędników, lub dyrektora, gorączkowo opowiadają o swoich troskach i niepokoju Barnabie, który podczas tych bolesnych wyznań otacza ich obłokiem rozpraszanego szczotką kurzu.

Po chwili następuje godzina tych, którzy po raz pierwszy uchylają podwoje kantoru. Nie wiedzą oni dokładnie, o ile patenta i marki fabryczne zabezpieczają ich odkrycia i wynalazki i o ile przyznaną własność osłaniają opieką... Przychodzą pełni ufności, ażeby oświecono ich niewiadomość, pełni zapału pytają, co i jak uczynić należy. Na skrzydłach fortuny i sławy snują marzenia o przyszłości; bo czyż nie są pewni przewrotu świata z owym wynalazkiem, który wsławi, wzbogaci nietylko wynalazcę, ale i tych wszystkich, którzy w nim jakikolwiek udział wezmą. W rozbujałej imaginacji nagromadzają się miljony... rosną... oślepiające, uderzające!

— Czy mamy uzyskać patent w Anglji? — zapytuje pan Chaberton.

— Nietylko w Anglji — odpowiada zapytany. — We Włoszech, w Hiszpanji, w Niemczech, w całej Europie — w Azji, w Ameryce, słowem, wszędzie tam, gdzie prawo opiekuje się wynalazkami. Być może, iż wydatki będą uciążliwe, zwłaszcza w chwili wielkiego wyczerpania na kosztowne próby, ale nie można uchylać się w dniu pewnego zwycięztwa.

Pan Chaberton opuszcza gabinet i wprowadza nowego klienta do kantoru, gdzie go oddaje w opiekę temu z urzędników, który ma nim kierować po drodze zdobyczy i eksploatacji.

— Panie Barincq! panie Spring! panie Jugu!

Przypuszczonemu do okratowanej celki, oczy i twarz rozjaśniają się. Z zachwytem patrzy jak p. Barincq, rysownik, tłómaczy i wyjaśnia rysunkiem niezbyt wyraźnie myśli klienta i jak pan Spring w obecności jego, odszukuje ważnych dokumentów na patenta wydawane w Anglji. Kantor kosmopolityczny działa pod okiem interesantów — jest to nawet jedna z głównych specjalności domu, dzięki panu Spring, który z równą łatwością w rozmaitych językach, jak i panu Barincq, który w kilku rzutach ołówka tworzy pośpieszne i wyraźne szkice.

Po korzystnie wypełnionym dniu, w którym urzędnicy zaledwie mieli czas odetchnąć, biuro powoli zaczyna się opróżniać. Zegar wskazywał godzinę szóstą i minut 25. Klienci, którzy pragnęli rozmawiać z samym panem Chaberton, wiedzieli z doświadczenia, że skoro wybije 6¹/₂, dyrektor opuszcza swój gabinet i żadne względy, żadna okoliczność — nie zatrzyma go ani chwili dłużej. Z pośpiechem wsiadał do omnibusu, dążąc na pociąg, skąd zaś koleją do Champigny, gdzie zimą i latem zamieszkiwał obszerną posiadłość, pożerającą większą część jego dochodów.

Jakkolwiek praca dzienna była skończona, Barnaba powrócił już z poczty, gdzie odniósł korespondencje, urzędnicy siedzieli jeszcze w swoich klatkach, udając zapracowanych i czekali na wyjście dyrektora. Z uderzeniem godziny 6¹/₂ pan Chaberton otworzył drzwi swego gabinetu i ukazał się w okrągłym kapeluszu z paltotem zdobnym w różnokolorową butonierę, zawieszonym na ręku. Jakiś nędznie ubrany klient, postępował tuż za nim i zdawał się o coś upraszać.

— Barnaba! pilnuj omnibusu! — zawołał pan Chaberton.

Barnabo wlepił oczy w dal bulwaru Montmatre, ciągnącego się długą perspektywą, wśród zieleni rozwijających się kasztanów i paulonij.

— Panie! — mówił klient, starając się zastąpić drogę panu Chaberton — postaraj się pan otrzymać dla mnie 5.000 fr. od pp. Srifler. Oni zarabiają 500 000 fr. na moich dyplomach. Mogą to uczynić dla tego, od którego je nabyli.

— Panowie Strifler utrzymują, że zrobili dla pana więcej niż powinni.

— Czyż mogą coś podobnego powiedzieć panu, który wiesz najlepiej, że mnie do szczętu zniszczyli. Niechaj mi dadzą te 5.000 fr. a zaniechamy wszelkich dalszych reklamacyj! Robię dla nich ofiarę, więcej niż z miljona!

— Panie Barincq! — przerwał dyrektor. — Jak daleko posunięty drzieworyt pana?

— Wkrótce go wykończę, dyrektorze.

— Powinien być bez zawodu gotów na dziś wieczór.

— Nie odejdę, dopóki nie będzie skończony.

— Te 5.000 fr. — ciągnął dalej klient — starczą mi na wykończenie mojego przyrządu kolometrycznego, który bez zaprzeczenia będzie najważniejszym z moich wynalazków. Wpływ jego na postęp naszej artylerji, może być znakomitym. Nie powoduję się tu nawet interesem osobistym, pan wie najlepiej, że zawsze gotów byłem poświęcić się dla idei.

— Biedny panie Ruffin! wylecisz w powietrze ze swojemi doświadczeniami palnych przyrządów.

— To mnie najmniej obchodzi.

— Omnibus! — wrzasnął posługacz.

Pan Chaberton pośpieszył ku drzwiom, a tuż za nim jego klient. Milczenie zapanowało w kantorze, jak gdyby w niepewności oddalenia się dyrektora lub w oczekiwaniu jego powrotu.

— Ot i zapakował się! — krzyknął Barnaba, wyglądając przez okno. — Ale cóż tam znowu? — dodał zdziwiony.

— Co takiego? — odezwały się głosy.

— Stary Ruffin włazi także do omnibusa Tam do licha, będzie żyłował naszego patrona aż do kolei.

W jednej chwili powstał w kantorze harmider nie do opisania. Wśród odgłosu ciężkiego stąpania, posuwania i przewracania stołków mięszaniny słów, górował, jak pianie koguta przenikliwy głos urzędnika korespondenta.

— Ucisz się pan, panie Belmaniéres — zawołał kasjer, podchodząc ku drzwiom swego przedziału, który sam tylko zajmował. Nikt cię tu słyszeć nie może.

— Tem lepiej dla pana.

— Dlaczego? — zapytał kasjer, człowiek poważny, ale skromny i cichy.

— Dlatego, kochany panie Morisette, że jeżeli powiesz głupstwo, co ci się często przytrafia, nie będą z ciebie kpić.

Zaczepiony w ten sposób Morisette, zamilkł. Widocznie zastanawiał się, czy przyzwoitość dozwala mu rozgniewać się.

Po chwili namysłu rzekł:

— Doskonale się pan nazywasz!

Korespondent Belmaniéres, właśnie z powodu śmieszności nazwiska, które nosił, przybierał wobec kolegów ton zuchwały i sarkastyczny. Przy każdej zdarzonej sposobności, a nawet często bez żadnej, drażnił i obrażał swoich towarzyszów, nie chcąc dopuścić kpin ze swojego nazwiska, które mu kamieniem na sercu ciężyło.

Inny na jego miejscu pokorą i zręcznem poddaniem się, uniknąłby złośliwych aluzyj; ale Belmaniéres, zgryźliwy z natury, zawistny i gburowaty, uważał za najstosowniejsze bronić się grubiaństwem. Odpowiedź kasjera rozjątrzyła go tem więcej, że przyjęta została wybuchem śmiechu i żartów, w których jeden tylko p. Spring nie brał udziału.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ruch pociągów kolejowych

obowiązujący z dniem 1-go maja 1901 roku. — (Czas środkowo-europejski).

Do Lwowa z: (na dworzec główny)

Do Lwowa z:	POCIĄG posp. przych.	osob. o godz.
Czerniowiec, Ickan, (Constancy, Bukaresztu)	12·15	—
Krakowa (Orłowa, N. Sącza, Tarnowa, Jasła, Chabówki, Zakopanego, Rzeszowa, Berlina, Wrocławia, Warszawy i Wiednia)	2·31	—
Podwołoczysk, Tarnopola, Grzymałowa. Kopyczyniec	—	3·35
Krakowa (Berlina, Warszawy, Wiednia, Tarnowa, Rzeszowa, Rymanowa, Sanoka, Przemyśla)	—	6·10
Czerniowiec (Ickan, Stanisławowa, Husiatyna)	—	6·20
Brzuchowic (codziennie od 16 maja do 15 września włącz.)	—	6·46
Janowa	—	7.45
Tarnopola (Krasnego. Brodów)	—	8·00
Ławocznego (Stryja, Chyrowa, Sanoka, Kałusza, i Pesztu)	—	8·10
Sokala i Rawy ruskiej	—	8·15
Krakowa (Zagórza, Łupkowa, Przemyśla, Wiednia, Berlina, Wrocławia, Orłowa od 15 czerwca do 15 września, Tarnowa, Pesztu)	—	8·50
Rzeszowa (Lubaczowa, Jarosławia, Sambora i Przemyśla)	—	11·45
Stanisławowa (Körösmező, Potutor, Chodorowa),	—	11·55
Janowa	—	12·55
Skolego, Stryja, Kałusza, Chyrowa, (z Ławocznego od 1 czerwca do 15 września)	—	1·10
Krakowa, Wiednia, Wrocławia, Berlina, Tarnowa, Rzeszowa, Rozwadowa, Przeworska, Sanoka, Chabówki i Zakopanego	1·35	—
Czerniowiec, Ickan, Bukaresztu, Galacu, Jass, Husiatyna i Stanisławowa	1·45	—
Podwołoczysk (Kijowa, Odessy), Grzymałowa, Husiatyna, Tarnopola i Brodów	2·35	—
Brzuchowic (od 16 maja do 15 września w niedziele i święta)	—	3·14
Sambora, Borysławia, Drohobycza, Stryja	—	4·40
Podwołoczysk (Kijowa, Odessy, Grzymałowa, Kozowy, Brodów)	—	5·35
Czerniowiec, Ickan, Stanisławowa	—	5·40
Krakowa, Berlina, Wrocławia, Wiednia, Wieliczki, Orłowa, Rozwadowa, Sambora, Chyrowa	—	5·50
Sokala, Bełzca, Lubaczowa, Rawy ruskiej	—	6·00
Brzuchowic (od 16 maja do 15 września w niedziele i święta)	—	7·36
Krakowa, Wiednia, Berlina, Wrocławia, Tarnowa, Lubaczowa, Sanoka, Pesztu, Przemyśla, Orłowa od 1 lipca do 15 września)	8·40	—
Brzuchowic (od 16 maja do 15 września codziennie)	—	8·50
Janowa (od 1 maja do 15 września w niedziele i święta)	—	9·00
Czerniowiec, Ickan, Bukaresztu, Husiatyna, Potutor, Körösmező	—	9.20
Janowa (codziennie od 1 maja do 31 września)	—	9·41
Krakowa, Wiednia, Berlina, Wrocławia, Warszawy, Tarnowa, Jasła, Przeworska i Rozwadowa	—	9·50
Podwołoczysk (Kijowa, Odessy, Brodów, Kopyczyniec)	—	10·20
Ławocznego, Pesztu, Chyrowa, Kałusza, Borysławia	—	10·50

(na dworzec „Podzamcze")

Do Lwowa z:	posp. przych.	osob. o godz.
Podwołoczysk, Grzymałowa, Tarnopola, Załeszczyk i Kopyczyniec	—	8·12
Tarnopola i Brodów	—	7·40
Podwołoczysk, Kijowa. Odessy, Grzymałowa i Brodów	2·2[illegible]	—
Podwołoczysk, Kijowa, Odessy, Zaleszczyk, Kopyczyniec, Podwysokiego i Brodów	—	5·11
Podwołoczysk, Kijowa, Odessy i Brodów	—	10·02

Ze Lwowa do: (z dworca głównego)

Ze Lwowa do:	POCIĄGI posp. odchodzą	osob. o godz.
Krakowa, Rozwadowa, Jasła, Chabówki, Zakopanego i Orłowa (Wiednia, Wrocławia, Berlina)	12.45	—
Ickan, Czerniowiec, Stanisławowa, Bukaresztu, Constancy	2·51	—
Krakowa, Wiednia, Wrocławia, Berlina, Chyrowa, Sambora,	—	4·1[illegible]
Brzuchowic (od 16 maja do 15 września codziennie).	—	5·40
Czerniowiec, Stanisławowa, Podwysokiego, Potutor	—	6·2[illegible]
Podwołoczysk, Kijowa, Odessy, Brodów	—	6·3[illegible]
Ławocznego, Munkacza, Pesztu, Borysławia	—	[illegible]
Krakowa, Wiednia, Wrocławia, Berlina, Lubaczowa	8·30	—
Krakowa, Wiednia, Warszawy, Chyrowa, Przeworska, Rozwadowa, Stróżego, Tarnowa, a od 15 czerwca do 15 września włącznie Sanoka, Rymanowa, Iwonicza i Jasła	—	[illegible]
Skolego, Chyrowa, Kałusza, (do Ławocznego od 1 czerwca do 15 września)	—	9.00
Janowa	—	9·15
Podwołoczysk, Kopyczyniec, Husiatyna, Grzymałowa, Kozowy	—	9·25
Sokala, Bełzca, Lubaczowa, Rawy ruskiej	—	10·20
Czerniowiec, Stanisławowa, Potutor	—	10·25
Janowa (od 1 maja do 15 września w niedziele i święta)	—	1·25
Podwołoczysk (Kijowa, Odessy, Brodów) Kopyczyniec, Zaleszczyk, Grzymałowa	1·55	—
Brzuchowic (od 16 maja do 15 września w niedziele i święta)	—	2·15
Czerniowiec, Ickan, Stanisławowa, Husiatyna	2·40	—
Krakowa, Wiednia, Wrocławia, Berlina, Jasła, Chabówki, Zakopanego	2·55	—
Stryja, Drohobycza, Borysławia, Sambora i Chyrowa (Skolego tylko od 1 maja do 30 września)	—	3·05
Janowa (codziennie od 1 maja do 15 września)	—	5·15
Brzuchowic (codziennie od 16 maja do 15 września)	—	5·25
Rzeszowa, Chyrowa, Przemyśla, Lubaczowa, Jarosławia	—	5·30
Stanisławowa	—	6·10
Krakowa (Wiednia, Wrocławia, Berlina, Warszawy, Orłowa (od 15 czerwca do 15 września), Tarnowa, Chyrowa, Mezö-Laborcza i Pesztu	—	6·20
Janowa (od 1 maja do 15 września w dni powszednie, a od 16 września do 30 kwietnia 1902 codziennie)	—	6·30
Ławocznego, Munkacza, Pesztu, Chyrowa, Kałusza	—	6·35
Tarnopola i Brodów	—	7·10
Sokala i Rawy ruskiej	—	7·25
Brzuchowic (od 16 maja do 15 września w niedzielę i święta)	—	7·5[illegible]
Janowa (od 1 maja do 15 września w niedzielę i święta)	—	9·30
Czerniowiec, Ickan	—	10·[illegible]
Krakowa, Wiednia, Warszawy, Przeworska, Rozwadowa, Rzeszowa, Orłowa, Tarnowa, Chyrowa, Rymanowa, Iwonicza, Chabówki, Zakopanego i Wieliczki	—	11·00
Podwołoczysk, Brodów, Kopyczyniec, Grzymałowa, Zaleszczyk i Podwysokiego	—	11·10

(z dworca „Podzamcze")

Ze Lwowa do:	posp. odchodzą	osob. o godz.
Podwołoczysk, Brodów, Kijowa, Odessy	—	9·4[illegible]
Podwołoczysk, Kopyczyniec i Zaleszczyk, Husiatyna, Grzymałowa, Kozowy	—	9·[illegible]
Podwołoczysk, Brodów, Kopyczyniec, Zaleszczyk, Grzymałowa, Kijowa i Odessy	2·06	—
Tarnopola i Brodów	—	7·32
Podwołoczysk, Brodów, Kopyczyniec, Zaleszczyk, Podwysokiego i Grzymałowa	—	11·32

Uwaga. Pora nocna jest oznaczoną ramkami — Czas środkowo-europejski jest późniejszy o 36 minut od czasu lwowskiego. W mieście wydają bilety jazdy: Zwykłe bilety: agencja dzienników J. St. Sokołowskiego w pasażu Hausmana l. 9 od 7-mej rano do 8-mej godziny wieczorem, zaś zwykłe i wszelkiego innego rodzaju bilety, taryfy, ilustrowane przewodniki, rozkłady jazdy i t. p. biuro informacyjne kolei państwowych (ul. Krasickich l. 5, w podwórzu, schody II. drzwi nr. 52) w godzinach urzędowych (8—3, w święta 9—12).

Odpowiedzialny za redakcję: Dr. Kazimierz Ostaszewski-Barański. Właściciele i Wydawcy: Dr. K. Ostaszewski-Barański, Milski i Sp. Z drukarni M. Schmitta i Sp. pod zarządem St. Pietrowskiego.